

ASPIRACJE



Nr 13 /48/ 2010

ASPIRACJE

**MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH**

NR **13** /48/

KWIECIEŃ 2010

TARNÓW

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP

ul. Staszica 6, tel. 688 80 23 w. 28

was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy

ZBIGNIEW MIROSLAWSKI

rysunek na okładce

KRYSTYNA BANIOWSKA-STĄSIEK

wydawca

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

im. Juliusza Słowackiego

33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4

tel. 014/688-80-23/4 tel/fax 622-20-93

e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl

www.biblioteka.tarman.pl

Tarnów – kwiecień 2010

Dotarły do nas z Rosji tomiki poezji i przekładów na język rosyjski, Władymira Nogowicina: „Neżnost” tzn. „Tkliwość” i „Niezaszcziszczennyje” tzn. „Nie obronione”. W obu wspomina współpracę z grupą literatów z Tarnowa. W pierwszym tłumaczy m.in. obok: Hermana Hesse, Rudolfa Bindinga, K. I. Gałczyńskiego, Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza, także Jurija Andruchowycza z Ukrainy i teksty naszych autorów: Zbigniewa Mirosławskiego, Beaty Kuta-Furlanetto, Urszuli Banaś, Stanisława Winzury i Doroty Kunc-Pławeckiej.

W 5 numerze „Znaj”, ogólnopolskiego kwartalnika naukowo-literackiego publikują nasi autorzy: Urszula Banaś, Beata Kuta-Furnaletto, Magdalena Lis, Paweł Mazur, Zbigniew Mirosławski, Mariusz Mitera, Anna Mróz, Jerzy Reuter, Dariusz Romanowski, Robert Stańczyk i Jacek Tryba. Warto pamiętać o terminie nadsyłania tekstów do numeru 6 „Znaj”, do 15 maja, na tematy dotyczące: dziecka, świata dzieci, tekstów dla dzieci. „Bohaterką” numeru będzie Maria Konopnicka, jej twórczość i to, co o niej napisano.

Kolejny numer „Aspiracji” 13 (47) zawiera wyjątkowo dużo poezji. Autorami tekstów są w kolejności alfabetycznej: Zuzanna Abrysowska, Urszula Banaś, Bartosz Baran, Monika Chytróś, Izabela Iwańczuk, Krystian Janik, Józef Komarewicz, Marta Kostyk (Jej tomik poezji pt. „Czerwone skrzynki” będziemy promować w bibliotece na początku marca!), Krzysztof Kunisz, Krzysztof Maniak, Monika Maśnik, autorka tomiku pt. „Wiersze zielone” wydanego w Wydawnictwie Diecezjalnym „Biblos” (debiut w „Aspiracjach”), Zbigniew Mirosławski, Mariusz Mitera, po raz kolejny Delilah „Del” Panaglima (Filipiny), Filip Pietrek, Adam Rajski, Dariusz Romanowski, Marta Sowa, Agnieszka Szajer, Grzegorz Szajer (debiut w „Aspiracjach”), Ewa Tomaszek, Natalia Tryba, Olga Wałaszek i Dominka Wianecka.

Tematyka wierszy jak zawsze jest różnorodna. Każdy z autorów jak planeta z Układu Słonecznego „krąży” po własnej orbi-

cie. Dzięki temu za każdym razem trafiamy do innego świata. Szczególnie uwagę zwracam na teksty Roberta Stańczyka, którego książkę pt. „Piąta strona świata”, jeszcze ciepłą z drukarni, będziemy promować w najbliższym czasie.

A w prozie: Mariusz Mitera, Robert Stańczyk i fragment większej całości Romana Dareckiego pt. „Z...a”.

Wszystkim czytelnikom życzymy miłej lektury.

POEZJA

Motto: *„Nie pragnę wiele dla siebie;
o szczęście maleńkie proszę,
jak bombka choinkowa;
krucha, błyszcząca,
w której się świat przegląda”*

Lidia Szafrńska, Warszawa

Zbigniew Mirosławski

* * *

Eli

Jestem opromieniony
słonecznym blaskiem.
Łowię barwy światła na drzewach
uciekających przed moim wzrokiem,
za szybą kolejowego wagonu.
Piękny dzień się zdarzył
i rozsiewa nadzieję,
że po zimowej porze,
którą przetrwamy
pijąc wieczorną herbatę,
przegryzając jabłkami,
znowu nadejdzie wiosna,
energii nam doda.
Wyruszymy przed siebie,
jak już nie raz
na wysokie, górskie szlaki,
do miast nieznanych.
W Twoich oczach
będę widział blask
promieniejący
pewnością odzyskaną,
że chociaż zmieniają się
pory roku, w nas
zakrzepła i dojrzała miłość
podobna owocom rumianym
i lśniąca jak kandelabr.

„Bezczas”

Jest ani kwiecień, ani grudzień...
Bezczas dokoła trwa ponury,
po niebie suną ciemne chmury.
Senni, zmęczeni wkoło ludzie.

W takiej przestrzeni ćma się miota,
kiedy pogasły wszystkie światła,
trudno ulecieć, wkoło matnia,
zostaje tylko czuły dotyk.

Kiedy nostalgia nas dopada
i zdaje się, że nic już po nas,
nie chce się wstawać, nie chce gadać...

Causa finta. Gra skończona...
To mimo wszystko choć po grudzie,
zdoła nas, cień miłości zbudzić.

* * *

„Born To Be Wilde” (Urodziłem się, by pozostać dzikim),
„Wszyscy ludzie powinni być dla siebie... zwierciadłami”
Po lekturze „Der Steppenwolf” (Wilk stepowy) Hermana Hesse

Harry Haller ma rozszczepioną duszę
więc jak może myśleć o sobie
„Wilk Stepowy”? Skoro to w nim
rozgrywa się sceniczny dramat.
Różne osoby wygłaszają
każda swoją kwestie.
Inkarnacje wielu postaci to już nie tylko
Dr Faust i mieszkające w nim
w wiecznym sporze – rozdzierające potrzeby
duszy i ciała. To piekło Marlowe’a,
sto łusek cebuli, jedna na drugiej sklejonych,
i sto nitek tkaniny, splecionych ze sobą,
nie do rozdzielenia.

Wilk zagryza człowieka
ale i człowiek zagryza wilka.
Człowiek zagryza wilka w człowieku,
wilk nie zagryza człowieka w wilku.
Małgorzata idzie za starym profesorem,
bo tak chciał Goethe.
Harry Haller idzie za Herminą.
Pod „Czarnym Orłem”
razem z Marią „wgryza się”
„...w słodki owoc rajskiego drzewa”
i w piekle Magicznego Teatru, gdzie
„Wszystkie dziewczęta są Twoje”,
upojny sen przeżywa.

Gdzie w tym wszystkim jest
Herman Hesse?
Gdzie są jego pragnienia?
Czy skryła je wszechobecna
litera: ha ha ha!
Hermina Hesse, Harry Hesse,
Herman Haller, Haller Hermina.

Orchidee dla Herminy,
„...wprawdzie tylko kwiaty,
ale dość drogie...”.
Ona go uprzedza,
„...Żyję z podarunków mężczyzn...
ale z Twoich żyć nie chcę...,
znów wyglądasz prawie jak człowiek...”.
To człowiek dla człowieka
zwierciadło stanowi.

Robert Stańczyk

„Poza granicami świata”

Chociaż stoją otworem wszystkie strony świata
to najchętniej do swoich stron przychodzę

Bo w moich stronach jedynym jestem królem
władcą bez poddanych, królestwa i tronu

Z moich stron wszystko wygląda inaczej
tam chwilami nawet czas niejednakowo płynie

W moich stronach nie ma, ani piekła, ani nieba
a w każdej zupełnie inny panuje spokój

Lecz, kiedy w moich stronach zrywa się wiatr
to dmie zewsząd i we wszystkie strony

W moich stronach nie ma chłodnych świątyń
ale są ołtarze chleba i wina spragnione

Światło w moich stronach nie tworzy cieni
i nawet kurz nie wznosi się ponad drogę

A na brzegach moich stron szumi ocean
a drobne fale snów widać jak na dłoni

W moich stronach, nigdy nie liczył się proch
tylko prawda i mądrość, co z niego powstała

I tak, przyglądam się wszystkiemu uważnie
patrząc po trochu z każdej mojej strony

A wówczas, znika ten ogromny strach
bo wiem, że one zawsze są po mojej stronie.

„Czekając na pociąg”

Dworzec kolejowy
Zegar pokazał czwartą nad ranem
Mocno zadomowione
duchy dworcowej poczekalni
wykorzystując szczątki stabilnego podłoża
śpią snem niespokojnym
trzymając pod głową - chyba dla wygody -
całe swoje życie
Właśnie przyjechał pociąg z Poznania
zapowiedziany miłym głosem przez kobietę
która w przeciwieństwie do mnie
dokładnie wie co tutaj robi
Wracając do znajomych twarzy
obserwowałem jak powracają w sen
podzielony według rozkładu jazdy
i czując dziwną głęboką więź
z królami życia po abdykacji
pomyślałem
że wszyscy
ściskamy w dłoni
ten sam bilet
bilet na księżyc
bilet w jedną stronę

„Nic śmiesznego”

Zobaczyłem człowieka
Zanurzonego po kolana w wodzie
brodził bez celu
przypominał czapłę
albo smukłego żurawia
wypatrującego śniadania

i nie wiem
czy znalazł to, czego szukał

ale zabawnie było patrzeć
na obraz osobliwego polowania
kiedy pod powierzchnią wody
nie było nic godnego uwagi
poza obfitością piasku i kamieni

I ja też zapewne
musiałem dziwnie wyglądać
wpatrując się przez kwadrans
w tego człowieka
choć w człowieku
zawsze jest coś godnego uwagi

Monika Chytroś

„PIERWSI W MIEŚCIE”

Byliśmy.
Okryci tylko smutkiem.
My dwoje,
pomiędzy tysiącem rozkładających się twarzy.
Słońce, jak zawsze, weszło nad parkiem i jeziorem.
Tam też zasnęło ich setki.

Byliśmy.
Po wszystkim.
Otuleni obrzydzeniem i samotnością.
My dwoje,
pomiędzy nutami ciszy,
uderzamy w klawisze fortepianu.

Niech zaśpiewa!
Choć jeden!
W rytm łez.

„KAŁAMARZ”

Jesteś, maleńka.
Toniesz w butelce.
Odchodząc kropla po kropelce.

Bez pieśni serca
dziecino mała
na świecie życia się nie ostałaś.

Bez kromki chleba,
choćby okruszków,
wysłałaś duszę z kruchych paluszków.

Strzelasz do cieni
w kołysce lasu
znikając sama w bezmiarze czasu.

Jesteś, maleńka.
Toniesz w butelce.
Odchodząc kropla po kropelce.

„POCZĄTEK”

Przez całe życie marzyłem.
I na nich spoczęła moja śmierć.
Nie chciałem nigdy więcej niż potrzebowałem.
Nie prosiłem i nie proszono mnie o mądre słowo.
Bo ten, który chciał spokoju tracił dialog.

Całe życie walczyłem,
cierpiałem w samotności.
Przez okna wdzierała się zemsta zasypując solą żal.
Ale nie skarżyłem się więc milczano w tłumie.
Bo ten, który chciał wolności teraz tłucze się po pustych ścianach.
I, który nazbyt pragnął miłości rodzi nienawiść.

Ryzykowałem wiele
tonąc razem z grzesznymi,
z żebractwem kradnąc myśli
i pośród nędzy wyciągając sumienia.

Ale teraz-jestem pewien.

Całe życie szukałem
choć tak naprawdę nie wiem czego,
ani kogo wyczekiwały moje spuchnięte oczy.
Przeklinali mnie nawet w trakcie snu.
Nie wstydziłem się siebie, a mimo to wytykano moją twarz.
Bo ten, który chciał przyjaźni dostawał do rąk martwe węże.

Całe życie wierzyłem.
Lecz nigdy tak, by móc unieść niebo
i, by zobaczyć jasne światło.
Przysięgali, że nie będzie wspomnień,
a nadzieję spalą pod najbliższym mostem.
Nie protestowałem, a i oni nie słuchali mojej ciszy.
Bo ten, który chciał sprawiedliwości siedział czekając na wyrok.

Ale teraz-jestem pewien.

Tym snem wiecznym zasnęli,
dla przyszłości,
chowając cząstkę szczęścia
w przegniłych kościach.

Filip Pietrek

„Lange Jan musi uwierzyć w siebie”

to moje ulubione
miejsce w tym mieście

Vennegoor of Hesselink jak skończył karierę
został tu barmanem
jak to nie on? Ten sam nos i podbródek

muzyka jak na Galerię
wyjątkowo cicha Amaretto
mój Boże! Kawa z Amaretto
z ride'em stopą
i te szesnastki świetnie
smakują można by się spotkać i porozmawiać
bo cicho i smakuje ale
dzisiaj gonisz francuskich
złodziei i nie ma mowy
(ani francuskich pocałunków)

po trzeciej wpadnę w rytm ten rytm
wrzasków które naniżę
na płytę – nazywamy się
Szubienica i wszyscy długowłosi
tylko ja

idzie pora deszczów zimna
a potem matury więc
będziemy wpadać tu częściej

Lange Jan musi uwierzyć
w siebie ach to Amaretto
zwłaszcza kawa z Amaretto

„Rozsypująca się”

kiedy klucze młodej Murzynki
stukwały o podłogę przedziału
obdłubana już Europa była jak
twarze tutejszych kobiet

klucze przewędrowały przez moje
dłonie z powrotem w jej dłonie
otwarty świeży uśmiech
spłynął na cały kontynent

kobiety posądzały mnie o zdradę
w tym czasie ich zachodni rówieśnicy
szukali owoców drzewa bodhi
lub zaglądali w światło półksiężyca

nad Rozsypującą się

pociąg jeździł w kółko
po rdzewiejących torach

„Dał, zabrał”

Hioba 1, 21?

w okolicach stóp
czyli części która służy podpieraniu ciała
przepelza realny strach

były chwile gdy
Bóg przymierzał Twoje sukienki
pomagał wybrać kolczyki
pokazywał ulicę dom
nasz zwykły katolicki Bóg

dołeczki w Twoich policzkach
miały być jego udziałem

zaczęłaś przychodzić bez Boga
równie piękna równie uśmiechnięta
niebo nie straciło gwiazd
a smutki były tak banalne
jak dawniej

co pewien czas
niespieszny realny strach
przygniata stopy odsłania obrazy

widziałem Ciało ciężkie upadające
widziałem słowa rozbijające się o zimną Skórę
„Kawa z cynamonem”

potrafię się napęlić po brzegi
szeregami znaczeń jakby każdy wypity
pyłek cynamonu był kolejnym
wierszem Mistrzów

jestem zazdrosny o Boży
płomień wiedzy
nie patrzę mu w oczy
nie chcę bać się
ani wstydzić myśli
wylewających się z ciała
i ciała wypełniającego myśli

wypity pyłek cynamonu
jeden wiersz krótki moment ciszy

i widzę spód Ziemi wierzchnią stronę nieba

próbuję nadać ciągłość i kształt
rozpisać pyłek do rozmiarów wiersza

Marta Kostyk

* * *

nie ma miejsc bardziej odległych
gdy miarą bliskości jest wyciągnięcie ręki
i tak się nie dotkniemy
nawet w jednym pokoju
Mały Książę
obejrzy za Ciebie jeszcze jeden zachód słońca
ja Cię nauczę
jak w czerwonej walizce
wozić wszystko co potrzebne
i oprostuję podział świata na dwa
bo pół mi nie wystarczy

„Fontanna Czterech Rzek”

czego można chcieć więcej
od papierowych statków bez masztu
które razem z Sołą nie dopłyną do morza
niż to
że uczą marzyć
nie do policzenia są teraz
cieple wieczory nad Wisłą
bez zbędnych zobowiązań
i marznące w śniegu
traktaty o szczęściu
o tej porze już tylko nieliczne miotły
układają do snu
przemęczone chodniki nad Arno
patrzemy w pięć stron świata
ja i białe głowy na marmurowych szyjach
w bezchmurne letnie niepokoje
nawet Tybr czasami
wydaje się niebieski

* * *

to szaleństwo – czas przyszedł
przecież jest tylko Ziemia
i tylko przez telefon
sama do Ciebie
piszę listy do żarłocznej czerwonej skrzynki
bo słowa pisane mają dłuższą datę ważności
SP-ZAP
jeżeli ptaki mają skrzydła
po to żeby latać
to może my też spróbujemy
ile razy da się
wychodzić cało z wielkiej miłości
i ratować z niej innych
tylko raz można
zostać zbyt długo w parku
bo nie starczyło wysokości
i siły

(samolot Cessna 172 reg. SP-ZAP rozbił się 28.06.2009 r. w Krakowie. Zginął pilot i dwóch pasażerów.)

„follow me car”

droga do celu bywa
nie do końca na skróty
wznosimy się w górę po to
Żeby mieć inne zmartwienia
i wymieniać poglądy z ludźmi
których prawie nie znamy
na ziemi jesteśmy nieporadni
ufnie patrzymy w żółty samochód
który prowadzi w bezpieczne miejsce
a droga do domu
zawsze jest na skróty

* * *

niedźwiedzie budzą się
najmniej odpowiednią jesienią
wtedy kiedy nawet sztuczne
róże gubią płatki
a cukier puder przykleja się
do deszczowych twarzy
w oświetlonym przymrużonymi światłami
Krakowie
jeżeli nie łączy nas kabel
to nic z tego nie będzie

Zuzanna Abrysowska

„Eukaliptus”

W drgającym upałem powietrzu
drżą wąskie liście eukaliptusa.
Miękki jak kozłęca skórka,
delikatny, gładki i ciepły,
wielki płat beżowej kory
oddarty od grubego pnia
zwisza na jednym włóknie
jak kawał spalonej żarem skóry.
Nie mogę się powstrzymać,
obrywam obumarłe pasmo
i przytulam do siebie
miękką skórę drzewa.

USA, California, Los Angeles 2009 r.

„Forest Lawn Memorial Park”

Na zielonych stokach
jak okiem sięgnąć
szeregi pochylonych drzew
rzucają cienie na rzędy

jednakowych tabliczek
w rytmie powtarzalnym,
wiodącym pozornie
w nieskończoność:
imię, nazwisko, data,
żyłeś, żyłeś, żyłeś...

Tu pochowano właśnie
Michaela Jacksona.

Widzę jak późną nocą
po kolei, z ociąganiem
duchy uwiedzione rytmem
wstają z grobów,
na parkietach nagrobnych płyt
szalony zaczynają taniec.

Nad nimi z panoramy Styki
uśmiecha się Chrystus.

USA, California, Los Angeles 2009 r.

„Yoshua Tree NP.”

Wśród pornograficznych obłości
nawarstwionych szarych gładów,
z czarnych, poszarpanych linii szczelin
potężne jukki wystrzeliwiają
drapieżnymi zygzakami
kolczastych ramion
wzniesionych błagalnie,
a może powitalnie,
w stałej surrealistycznej ekspozycji
odwiecznego rzeźbiarza
– przyrody.

USA, California, pustynia Mojave, 2009 r.

„Crescent Meadow”

Mech zazdroszcząc szpilkom
wgryza się w korę sosen
wściekle groszkową zielenią,
otula pnie puszystą, żarłoczną kołdrą.
Przez bagno potężna sekwoja
leży długim, rdzawym mostem.
Między drzewami szlakiem pod górę
sarna przemyka ścinając zakosy,
ogląda się, udaje przewodnika.

Czy za sarną w niewiadome zdążać,
czy może wrócić długim szlakiem,
czy lepiej niebezpiecznym skrótem
wysokiego, sekwojowego mostu?

USA, California, Sequoia N.P., 2009 r.

„Dead Horse”

Zielona dżdżownica Colorado
wije się wśród potężnych skał
żłobiąc coraz głębszy wąwóz,
opasując stromy cypel
coraz ciaśniejszą pętlą
niczym długie laso rzucone
na smukłą końską szyję.
Z białych oparów mgieł
jak z pełnej mydlin balii
wyłaniają się strome skały
krwistą, głęboką czerwienią.

Przez zmrużone powieki
zobaczyć możesz rozdęte chrapy,
wzniesione kopyta:
tabun uprowadzonych koni,
gnających ku przepaści,

oszałałych kserokopii
rumaka Podkowińskiego.
Wiatr zagłusza dawne rzenie.

USA, Utah, Dead Horse Point, 2009 r.

„Las Vegas miasto na opak”

W sercu pustyni wyrasta
wesołe miasteczko
tylko dla dorosłych,
zrodzone z zachłanności,
wyrosłe z dziecka wyobraźni,
kusi i mami plastikową bajką,
niczym kurtyzana:
dnem senne, nocą rozbudzone,
światłami wabi
w rytm karuzeli ruletki.

Różowy pelikan podbił pustynię
milionami mafijnych dolarów
rozkwitłych neonowym blaskiem.
Na skrawku piasku
przemieszano stare z nowymi
symbole ludzkiej dumy i potęgi,
drewniane atrapy marmurów:
Rzym, Paryż, Wenecja, Kair...

Kasyna sprzedają marzenia
skąpane w złotym pyle
cukierkowo lukrowanej szmiry.

Landrynkowy blichtr
gaśnie w pustych źrenicach
repliki Statui Wolności.

USA, Nevada, 2009 r.

Dariusz Romanowski

„A nawet jeśli coraz trudniej”

A tutaj nawet szarobure koty
Przystały przychodzić i podnosić
Pyski w niemym zachwycie nad
Sonatą quasi una fantasia
I żaden z kundli nie szczeka
Radośnie i nie warczy groźnie na
Powitanie którejkolwiek z pór roku
I choć istnieniu świata zaprzeczyć
Nie można to coraz trudniej sięgać
Ponad chmury i słonecznym traktem
Śpieszyć na spotkanie z tą
Której nieobce wielkie zachwyty
I drobne wzruszenia nawet jeśli
Bywa na odwrót lub jeszcze inaczej

Urszula Banaś

* * *

gdyby mój mur był z cegieł
zdmuchując z nich zmęczenie postawiłabym dom
samotność po samotności

by uniknąć patrzenia w ściany
miałby tylko dach
i kiedyś
runąłby mi na głowę

ale mój mur jest ze szkła

* * *

drzewo mojego życia
nie miało czasu kwitnienia ani czasu owocowania,
więc porąbano je na drogowskazy
uwaga, ślepa ulica

„Maksimum Leonidów”

listopad srebrną mżawką
zmiażdżył wygięte nadgarstki wierzb
zakłębiły się ciemnie podchmurne
rozzłościły latarkami w oczy
niebo zapłonęło złotą lawą
z asteroidalnych wulkanów
rozplątany naszyjnik z księżyców
runął na smutną ziemię

grudzień 2008

„Apogeum szaleństwa – Blue Monday, pełnia księżyca i wiatr halny 21 stycznia 2008”

spod skóry nadgarstków
wyczołgują się żyły
pulsuje gorąca krew Pełni
do granic jedności
do krańców oblędu
wkrzykuje swój zew w rozdarte ciało
Oko Wieczności otwiera się
kiwają się głowy szubienic
drewno trzeszczy niezdrowym ciepłem
ziemia tak przyciąga
wchłonie jabłko Newtona i jabłko Adama
dziś chciałaby pożreć nas wszystkich

grudzień 2008

* **Blue Monday** – wprowadzone przez Cliffa Arnalla określenie najbardziej depresyjnego dnia w roku, przypadającego w poniedziałek w trzeciej dekadzie stycznia.

„Requiem dla Nieistniejących”

jeżeli rozkwitły
to kwiatami z lodu
arktyczne powietrze wbiło je
w ziemisty smak niezaznać
jeżeli rozbłysły
to pogrzebowym stosem niespełnień
do tej wiosny
wolne ptaki nie przyleciały
dwudziestoletnie dni
przeminęły bezskrzydle

w wyziębionej szklarni
nie wyrosły owoce
martwe dni spadały powoli
trzydziestoletnie
zagryzane z chłodu noce
dla Was nigdy nie poczętych
zaczerniam żałobnie kartki w kalendarzu

grudzień 2008

„Trzydzieści trzy i trzy”

N.
z czarnym smokiem w płucach
wyrocznia od piątego roku życia
widzi w gwiazdach nieszczęścia
przez swoje czterysta księżyców
nie nosiła nigdy kluczy
czarownica, czarownica
bardziej niż ognia bała się
że utonie w pustej studni

styczeń 2010

„Równowaga”

Szeptana legenda wkroczyła w skończoność
nieoczekiwanie
rozdzielone
części Ziemi stały się jednością
wulkany wybuchły symfonicznie
jednocześnie
pękło
ziarenko nadziei
zakiełkowało – nie zakiełkowało –
Fortuno. Pół Ziemi
zeszło w czeluść. Czeką końca nocy.
Jasna strona globu
walczy. Co przyniesie dzień?

Styczeń 2010

* * *

przed świtem
z ust nocy
wyfruwiają szare ptaki
wydziobują z ciał spokojny sen

styczeń 2010

Adam Rajski

* * *

Przychodzi jak Odys
tu, gdzie czekają na niego
niewierne Penelopy.
Poza nim historia
wojny o piękną Helenę,
o wszystkie piękności
Śródziemnego Morza.

Poza nim rozmowy
z Achillesem i wspólne
bojowe wyprawy,
jak ta po cudowny Palladion,
niezwyciężonej Ateny.
Otwierał bramy Troi,
oślepił „Wielkie Oko”
– Cyklopa Polifema,
on nawet nie zauważył,
kiedy zamierzył się na niego,
zapatrzony w ekran,
ciągle zmieniał kanały TV.
W Eolii, gdzie były
jego uniwersytety,
otrzymał worek
z pomyślnymi wiatrami.
Dopiero córka Słońca,
czarodziejka Kirke
wyjawiła mu, że musi
spotkać duszę Terezjasza
a rozmawiał także
z Antikleą, Agamemnonem,
Ajaksem i Patroklesem,
wszystkich nie wymienię.
Oni odeszli poza Bramy Piekieł.
Poza Scylą i Charybdą,
w wąskim przesmyku
mocy i niemocy,
szukał ukojenia u Kalipso.
Znalazł natchnienie
do napisania
kilku miłosnych wierszy.
Potem tulił jeszcze w ramionach
Nauzykeę, córkę króla Alkinoosa.
Czy kiedyś powróci do Itakii?
Nie spotka tam Telemacha,

bo nie ma syna,
nikt też nigdy nie tkął dla niego
żałobnego całunu
ani nawet zwykłego chitonu,
dlatego powraca tutaj,
gdzie czekają na niego niewierne Penelopy,
nie poczuwa się do żadnej winy
i z nimi pije szampana.

* * *

Cień dwóch lampek
po szampanie na ścianie,
jedna wyższa,
druga w tyle przed lustrem.
Tu przed chwilą
on i ona wypili
wiele szczęścia,
które bywa nienazwane.
Jej sukienka obcisła,
porzucona, w blasku świeczek
ich oczy zapłonione.
On jest dla niej poetą, artystą.
Znają sztukę pieszczoty
jej dłonie. A muzyka
rytmiczna do taktu
była świadkiem
ich ciał zespolenia,
teraz cienie
o tym szepczą,
na ścianie, też by chciały
się kochać, jak oni.
W ciepłym drzeniu
jasnego płomienia.

Dominika Wianicka

„świtanie”

świt.
tonę wśród dumy
z twoich ust nasiąkam
ostatnim pocałunkiem
a rano gdy wstaniesz
by odejść do niej
uśmiechnę się
cała we krwi

z moich zabitych uczuć.

„w międzyczasie”

stałam blisko
za szybą z silikonowego
szkieletu zapomnienia
powoli obgryzałam paznokcie
z resztek lakieru
zatracałam wspomnienia
w odprysniętym różu
o tobie dla ciebie
ja
zawsze z ukrywaną namiętnością
przy ludziach którzy i tak
wiedzą o twoich udach
między moimi

* * *

szóste piętro kolejnego wieżowca.
po lewej stronie
mieszka ona pośrodku
moje niespełnione żądze.

„wszystkie słowa są kobietą”

przeglądam się w lustrze
opary minionego jutra
głaszczą cię po włosach
siedzisz z podkulonymi nogami
w czyimś fotelu
w twoich oczach znudzony błękit
i czerwień włosów paranoi

powiedział że cię kocha
powiedziałaś że jesteś jego
na zawsze na jutro na nigdy
a teraz siedzisz wydrapując
resztki niechcianej miłości
bo ile trwa wiecznie gdy
jego czas jest inną kobietą

noc znowu szepta do ciebie
głosem skradzionego kochanka
odbija się echem twoich gorzkich słów
uderzających cichym krzykiem w jego
ulubioną koszulę już jutro
jak długo by nie trwało nic
dalej więcej później

Olga Wałaszek

* * *

Ukryjmy się!
milczysz...
ucieknijmy stąd
milczysz...
Odnajdźmy siebie
milczysz...
„Odchodzę”
milczę...

„Niemy wieszcz”

Przez piekło ostatniej niezapowiedzianej drogi przechodzi niemy wieszcz, w wątlej dłoni dźwigając piętno pustej kartki. Kona nie mogąc oddać niewypowiedzianych myśli. Odchodzi, myśląc ciągle jeszcze o tych, którym jego słowa są niezbędne. Z jego zapadłej piersi sączy się bezdźwięczny jęk, a przez otwarte usta bezwstędnie klnie cisza. Tylko jego oczy wciąż krzyczą. Wilgotne źrenice pragną wypowiedzieć to, czego ani głos, ani dłoń nie może przekazać. „Dajcie mu lutnię, niech wygra ostatnią baladę!” – krzyczy ociemniały tłum. Lecz on nie słyszy, wsłuchany w osobiste requiem, ciszą malując ostatni poemat.

Mariusz Mitera

„przemijanie”

czerń i biel połączyły się
w szarość,
zbladły barwne kwiaty
chwil minionych,
przyprószone siwizną
przemijania,
czerń i biel
zjednoczyły się,
rzucając szary cień.

* * *

Dusza tęsknym wzrokiem wypatruje
księżycy...
wszystkimi zmysłami czuje,
że dziś powinna być pełnia,
ale oczy spłakane spoglądają
w szarość...
dzisiaj niebo zaciągnięte szarymi chmurami...
jedyna nadzieja, że spadnie śnieg...

z gardła Duszy dobył się pełen bólu jęk...
kiedyś byłoby to pełne pierwotnej
dzikości wycie,
lecz dziś Dusza płacze ze starości.

„Czyścić”

Między niebem
a piekłem,
za oknem
szpitalnego
czyśćca
pada śnieg
z zimną
obojętnością.

* * *

zabawa w przeciąganie struny,
pękła...
Ty i ja
milczący...

„Pożegnanie”

słowa zapisane,
słów już nikt nie przeczyta,
słowa wymówione,
słów już nikt nie usłyszy,
biała kartka
pozostanie już biała,
a moje ślady na śniegu
nagle się urywają

Agnieszka Szajer

„Chwila słabości”

zaczekaj
to jeszcze nie koniec
głowa do góry
to zawsze nowy początek
jak zwykle
zobaczysz
zaraz nadejdzie
to był zły czas
nie Twój – nie dla Ciebie
porażka
zwykle buduje sukces
nie martw się
nie odwracaj
już widzę – jest blisko
powoli nadchodzi
nie spiesz się
nie tak szybko
spokojnie
do Ciebie też przyjdzie
Ciebie nie ominie
stoi tuż obok
...nadzieja

(13.03.2007)

„Podróż”

za dużo swarów
za dużo sporów
i różnic zdań
zmęczony życiem
zostawiasz wszystko
i ruszasz w dal

podróż odległa
dalej niż myślisz
czeka cię
 czy jesteś pewien
 że jesteś gotów
 odnaleźć się
na koniec świata
siebie początek
wejrzeć, zrozumieć każdy zakątek
 poznać, zobaczyć
 odkryć na nowo
 wreszcie być sobą

(28.10.2007)

„dorosłość”

nie każdemu
wigilijna opowieść jest dana
i nie każdy
zmieni w prozę życia treść
bo „dorośli”
bajki lubią opowiadać
ale morał
dawno utracili gdzieś
a po stracie
ronią łzy jak krokodyle
lecz gdy wyschną
własnej winy
ledwo widzą nikły kształt
jeszcze bardziej nieugięci
zatwardziali w swej mądrości
z niewiadomej konieczności
utracili ideały
swego życia i młodości

(2008)

* * *

krzyk
wrzask
meduzy śpiew

chrzest
zgrzyt
spękanych myśli

pisk
świst
skradzione ja

szast
prast
złamane serce

...i nie zostało mi nic więcej..

(20.07.2009)

Grzegorz Szajer

„jestem”

czasem jestem dzieckiem
czasem jestem starcem
czasem jestem czarny
czasem jestem biały
czasem jestem
więc czas mnie nie pokona

Józef Komarewicz

* * *

ścielą się sny jak aksamit

a ja wciąż do poezji

wybieram się

jak sójka

wciąż szukam kamienia filozoficznego

wciąż przewracam pożółkłe stronicę

wszyscy mi mówią że to już tak blisko

rzut zapalką do popielniczki

i już zobaczę

już się przekonam

cierpliwie przecieram okulary

lipiec 2009

Monika Maśnik

„Takie proste szczęście”

Zachodzące słońce dawało mi znaki

spomiędzy długich cieni drzew

kiedy biegłam przez

moje lasy

Wiatr wplótł mi we włosy

suche liście

Oddychałam chłodem potoku

Śmiałam się czerwienią

jarzębiny

Byłam nicią babiego lata
korą płaczącej wierzby
wonią ostatniego kwiatu
zołędziem, który zaraz spadnie
suchą kromką chleba
Byłam szczęśliwa

„Jesienią”

Jesienią wszystko staje się nagie
drzewa
kłamstwo
prawda
nagie uczucie odarte z przepychu lata

Piękna ta jesień

Jesienią zostają wspomnienia
jak suche liście na ziemi
niechcący nadepnięte
i przypomniane – kiedyś zielone

Jesień to rachunek sumienia
nagie drzewa – prawda
suche liście –
to co się zmienia

„W malinach po szyję”

O taki ja
człowiek

w malinach po szyję
w pokrzywie po pas
w błocie po kostki

sam się wpuściłem
do tego ogródka

zrywając jabłko w środku
zgnite

teraz też chodzę z tym
jabłkiem muchomorem
jak król z berłem w ręku
wypędzony z pałacu

tylko już nie na boso
bo tyle błota
cierni

„Kwiecień”

Kwiecień mi mówi o kolorach
o pierwszych łąkach
o pierwszych kwiatach moich dni

Kwiecień mi mówi o niebie
nawet tak granatowym
jak pierwsze burze

Kwiecień mi mówi o zieleni
pierwszej nieśmiałej i śmiałej naiwnej
– i nigdy niedojrzałej

Kwiecień mi mówi o brązie drzew
o pniu z brązu stałości
i o bieli jedynej i wiernej korony

Kwiecień mi mówi o Słońcu
o świetle które kolory ziemi
przemienia w rajski ogród
i o kroplach deszczu
na płocie który dzieli
to co mają w sobie krople
tak przeźroczyste
że mają wszystko

i niczego nie ukryją
i oddają wszystko co mają

Kwiecień mi mówi
śpiewa mi opowiada
delikatną muzyką
szeptu ciszy
tego zawsze poranka
który po przebudzeniu się nie śpieszy
otwierać oczu

„dzień matki”

Mojej Mamie

choć nie mówię Ci wszystkiego
dokładnie wiesz,
bo
Ty to ja, ja to Ty
choć inne drogi inne sny

mój profil jest Twoim,
Twoim głosem wymawiam
moje myśli
płaczę Twoimi łzami
uśmiecham się Twoim uśmiechem
i jesteś tam gdzie ja
zawsze

co więcej jest nas dwie –
dusze i
Twoje istnienie jest jednym z dłut
które rzeźbią moją rzeczywistość

choć nie mówię Ci wszystkiego
chcę powiedzieć że dla mnie
każdy
mój dzień jest Twoim

należy do Ciebie
dzień matki

„znów przedwiośnie”

niebo znów
maluje swój obraz
rajskimi kolorami
farbami
rozmieszczanymi z wodą
i słońcem

niebo znów
maluje swój obraz
na tle łysych drzew
różami
przykrywa ich nagość
koronuje słońcem

przedwiośnie czy chwila
ekstazy przyrody
– Niebo znów
maluje swój obraz

I z a b e l a I w a ń c z u k

„Grypa”

kruszę chory czas
bielą się kładziesz

duszną bielą bzu
senną bielą snu

już po śmierci lśnienie łabędzi

co z mewami z turkawkami
co z ptakami z nami

„Czuła stacja”

biedroneczką ust
motylem języka przysiadam

lekka wata wiatru
strumyków biała karnacja

„Kawa włoska”

Jacobs a-Roma-t królewski
lekki letni niebieski

rym cym cym
Rzym czym czym

zachwyca słońcem kolosalnym
i łukiem triumfalnym

„Struna”

ero wgrane
w pareo

masz dług
wyjmujesz długo

pełnymi ustami
wiersze Jastruna

gram na wszystkie
strony i struny

cytrynka mandarynka
dziewczynka pelerynka

liryczna struna
Ja-struna

Marta Sowa

* * *

- tobie!
lubię rysować złamanym ołówkiem
nierówny kontur twoich ust

układać zaspane strofy
na pół dzielić każdy pocałunek

- żeby trwał
za długo
o kilka jeszcze zdań

lubię milczenie ubierać
w malinową szminkę
i zmięte koszule
bez krawatów
żeby przeproszałam brzmiało
głośniej

lubię pytać o godzinę
zaprzeczać
wiedzieć że wiesz – jestem szczęśliwa!

* * *

zakochaj się we mnie – jak ciszą kocha się każdą północ
– naga. Zatrzepocz rzęsami nie zamykając powiek – by
sen nie przestał trwać.
nie przekwitł jak moje serce na niewłaściwych ustach
ułożone

powiedz 'dobranoc'
za horyzontem – tam jestem sama i ty jesteś sam.

* * *

zagnij czasoprzestrzeń
jak zagięty jest róg
stołu

w naszej wyimaginowanej
kuchni
przy nierzeczywistych
taboretach

z lekka po-
-giętych

zupełnie obok
maszyny do zszywania
naszych wieczornych rozmów

o niczym

zagnij czasoprzestrzeń
i wyimaginowany czas
którego ciągle

nam mało

* * *

zachłysnęłam się tobą
jak filiżanką czarnej kawy – gdy jego usta drżały
w coraz pewniejszym ‘nie kocham’

zaszłam ze słońcem o zmroku
wzejdę po innej stronie
– nieba
dla nie – twoich oczu
nie – twoich ust
żeby nie pomylić deszczu ze łzami

* * *

od ostatniego dotyku
minęło sporo
godzin

na imię ci drugi
przez d poprzedzone
westchnieniem

z twojej twarzy czytam
że dobrze byłoby
nam

r a z e m

poprzedzam ciszą
bo jest pierwszy
który zabija nieszczerą miłość

składałam wiersze z nierównych sylab
nie od par -ad- y.

tęsknotą są dłonie wplecione w siebie nawzajem
stary wiersz z początków
jakieś zgubione k o c h a m

zapomniałam że mogę to mieć
a nie mam
miałam

zniknęło z t o b ą pierwszy

nie umiem cię
napisać do ciebie

trudne wiadomości bez klucza analiz interpretacji
z nim byłoby łatwiej
z innym

nie zdałam egzaminu
ze znajomości ciebie i humorów obok emocji
i dnia powszedniego
z nieistniejących świąt

n i e

* * *

zaczęło się od epizodu
nic nie znaczył nie był nawet epizodem
nazwałam go tak później

kiedy określenie romansu
było za poważne

a w jednej storcie nie umiałam ciebie zmieścić

im więcej ciebie tym mniej
ciaśniejsze zdania

imię pisane z małej litery
zmięty papier z sercem schowanym w zakamarkach

czy trzeba kochać?

* * *

która godzina? – czy jestem szczęśliwa
uwielbiam cię! – wołałabym że kochasz

schowaj mnie
pod jedną tylko łżą, dzień który nas nie zmieścił
obok siebie
czy minął? – ile powinnam drzeć
na dźwięk
kropli głuchego deszczu

* * *

wspólne życie bywało za ciasne
dla mnie

i ciebie

nie wszystko mieściło się
w granicach

sny były zbyt obszerne w rozmiarach

epizody rzeczywiście nosiły ciemnoczerwone szminki
koszule bez krawatów, szerokie spodnie

spotykały się ze mną
i tobą

wszechświat się zawężył
oddechy spojrzały w jedną tylko stronę

życie nie było zbyt ciasne
i zbyt niewygodne

Krzysztof Maniak

„Litania do Dobrej kreski”

Dobra kreska nie boi się krytyki.
Dobra kreska nie ma początku ani końca
Dobra kreska jest subtelna.
Dobra kreska jest miękka.
Dobra kreska ma swój walor.
Dobra kreska ma Twoje znamię.
Dobra kreska jest rozważna.
Dobra kreska nie jest eksponowana.
Dobra kreska musi być świeża.
Dobra kreska jest trafna.

Dobra kreska jest na wagę złota.
Dobra kreska mówi za autora.
Dobra kreska jest wieczna.
Dobra kreska jest dziedziczna.
Dobra kreska jest czysta.
Dobra kreska kontempluje.
Dobra kreską umie korzystać z życia.
Dobra kreska umiera młodo
Dobra kreska jest warta milion dolarów.
Dobra kreska jest charakterystyczna.
Dobra kreska jest nastrojowa
Dobrą kreskę jest analityczna.
Dobra kreską jest zrozumiała
Dobra kreska pochłania życie twórcy.
Dobra kreska egzystuje dzięki godnym odbiorcom.
Dobra kreska jest rozbudowana.
Dobra kreska to traktat naukowy.
Dobra kreska nie jest jedynaczką.
Dobra kreska jest niepowtarzalna.
Dobra kreska powtarzana jest raz na nieskończoność.
Dobra kreska broni się swoim geniuszem.
Dobra kreska doświadczyła tylko jednego człowieka.
Dobra kreska nie może być opowiedziana.
Dobra kreska odpoczywa na Wyspach Wielkanocnych.
Dobra kreska musi oddawać smak.
Dobra kreska musi wygodnie leżeć na płaszczyźnie.
Dobra kreska jest jak smak chleba nigdy się nie znudzi.
Dobra kreska jest jak perfum na umyte ciało.
Dobra kreska trzyma obraz.
Dobra kreska może naprawić rower.
Dobra kreska może narysować zaczarowany ołówek.
Dobra kreska w każdym świetle jest tylko dobra.
Dobra kreska to tekst rysunku.
Dobra kreska musi mieć godne towarzystwo
Dobra kreska jest trzeźwa.
Dobra kreska malowana jest długim ołówkiem.
Dobra kreska ma smak.

Dobra kreska niepotrzebna znika.
Dobra kreska czasami bywa zmęczona.
Dobra kreska ma swoich wiernych.
Dobra kreska tworzy dzieło.
Nie ma dzieł.
Dobra kreska wybija oczy.
Dobra kreska łamie kręgosłup.
Dobra kreska odpowiada na wiele pytań.
Dobra kreska zamyka usta krytykom.
Dobra kreska mieszka w hotelu pięciogwiazdkowym.
Dobra kreska spała z Leonardem
Dobra kreska lubi uprawiać sex.
Dobra kreska jest młoda
Dobra kreską przylgnie do kartki jak brud.
Dobra kreska jest skromna.
Dobłą kreska jest jak kichnięcie.
Dobra kreska powoduje lato w środku zimy.
Dobra kreska jest matką.
Dobra kreska pragnie być chwalona.
Dobra kreska ma kochanka.
Dobra kreska płacze.
Dobra kreska korzysta z WC.
Dobra kreska może być samowystarczalna.
Dobra kreska wie o swojej wielkości.
Dobra kreska miewa déjà vu.
Dobra kreska odzwierciedla Twoje sny.
Dobra kreska jest oszołomiona.
Dobra kreska jest poszukiwana.
Dobra kreska jest kobietą.
Dobra kreska wybuchnie.
Dobra kreska ma orgazm.
Dobra kreska mi się śniła.
Dobra kreska ma romans ze mną.

„Leżące słowa”

Listopad już go połowa minęła,
Wróć od lekarza
I idź zaziębić się ponownie
Zrobić szal ze spadających
mokrych jak ślimaki liści,
może ze ściółki leśnej.
Stań pod tablicą pamiątkową, taką
Po której ściekają olbrzymie krople,
Wytrzyj chusteczkami ławkę
Odpal coś
Czekaj na lokalną orkiestrę dętą
Lub koncert nieistniejącego
od czterech lat zespołu.
Przeplataj się do zmroku
Zbrudź sobie spodnie
Siedząc na mokrym betonie
I nie pierz ich, niech mama nie płacze.
Napij się wódki z punkami,
Poczekaj na kolory
Szukaj ich na brudnej palecie nieba,
Tam- ptaki słowa punkty jak pauzy
na pięciolinii starych zapisek śp.
kapelmistrza.

„Empire of the sun – we are the people”

Niebieskie halogeny
Za oknem pomarańcz
kontrastuje noc, a
Na pulpicie kocham Cię,
Papieros w oknie
zawiało mi do środka
Mgiełka pod sufitem
I ręce zrobiły się chłodne.
Takie podniecenie

wyczuwalne w powietrzu
pomiędzy moim zapachem perfum
pustym pokojem, taki w lustrze
zamyślony.

* * *

czerwiec
to już nie czas na wiersz
on musi się rozmazać,
poślizgnąć na liściach
Czerwiec to nie czas na naukę.
Bo trzeba się bawić – bez umiaru
Albo wcale, Kiedy stoi się pod drzewem
Rozgląda,
a nikogo nie szuka.
To nie pora na dojrzewanie
już taka dla mnie zostaniesz
Nierozkwitnięta.
noc z karuzelą,
głód? Przecież
byłaś obok,
każdy zajął się sobą.

* * *

W monologu świateł,
jadących samochodów
Po co mówię tak wiele?
Prostacko,
Nie szanuję szmeru liści
pod naszymi stopami.
Celowo zwalniam krok,
Bo lubię kiedy pociągasz mnie
Tym migoczącym
Uśmiechem, między kolejnym
Gasnącym tak.

* * *

Dwie minuty
i czterdzieści dziewięć sekund
z El Perro del Mar
Glory to the world
potem jeszcze parę sekund
i tak skwierczy cicho
oddycha wiatr
współżyjąc z bibułą.

Bartosz Baran

* * *

Ciasno mi
Wśród tej ciszy
Na chwilę odejdę od wzruszeń
Zapalę płomień by wchłonął szept
Niedokończone pytania i gesty
Otworzę drzwi
Zaproszę przeznaczenie na obiad
Z resztek bezpowrotnych chwil zrobię ucztę
Potem popatrzę w lustro
Obmyję twarz z obumarłych słów
Delikatnym dotykiem rozproszę
Kłęby myśli
By móc dostrzec wolność
W ciasnym spojrzeniu

„Rozsypane słowa”

Rozsypane słowa...
Po kątach pokoju
Budzą ciszę
Oddają ciepłe gesty
Uwalniają zaspane myśli
Rozsypane słowa...

Dotykają każdych
Nawet najmniejszych kształtów
Wolno wtulając się
W nostalgiczny nastrój
W jednym momencie rodzą krzyk
Tak donośny
Jak oddech zdradzonej nocy
Rozsypane słowa...
Emocjonalne rozbicie
Niezwyczajnie rozerwane
Jak proste formy
Dalekie od ideału

„Nie lubię samotnych nocy”

Nie lubię samotnych nocy
Oddechów skąpanych w chaosie
Wstaję z łóżka
Jest trzecia trzydzieści
Próbuję tchnąć życie
W zastygłe od ciszy ściany
Podchodzę do okna
Wczorajsze myśli krążą po chodniku
Latarnie zabijają szary smutek nocy
Wiatr rozgania pocałunki
Rozbijając spokojny czas
Bezsenne szaleństwo
Nie lubię głuchych myśli
Ciemnych od płaczu łez
Niewinny mój wzrok
Zawisł między drzewami
Cóż tam dostrzec próbuję?
Może Ciebie?
Tak by było lepiej
Nie tkwiłbym przy tym oknie
Zszedłbym na dół
Zapalić papierosa

Potem uśmiechnąć się do Twoich ust
We włosach zatopić bezsenność
I w jednym momencie ożywić ciemność
Nagość zimowej nocy
Lecz nie dziś
Jeszcze nie teraz Ciebie zobaczę
Na razie walczę z samotnym oddechem
Pośród cieni pod ciemnym niebem
Aniołów co malują nocne szaleństwo
Nie lubię samotnych nocy
Jest piąta piętnaście
Powoli gaśnie ta samotna chwila
Wzrok już zmęczony
Mrok niknie pod osłoną mgły

„Nie mów mi”

Nie mów mi nic o samotności
Wiem co to znaczy
Gdy nie ma gdzie zaczepić dotyku
Nie mów, że dobrze mnie znasz
Gdy w sercu toczy się wojna
Gdybym wiedział wtedy ...
Gdybym oddał choć na moment
Ten żywy pocałunek
Trwałby nadal
Ożywiłby zmęczone usta
Nie mów, że wiesz ...
Ja już nie potrafię płakać
Uśmiech też zginął
W ciemnych od smutku chwilach
Z nadzieją patrzę w niebo
Gdzie jest granica tych dni ?
Nie mów mi nic ...
Tylko daj mi odrobinę czasu

„Dopóki trwam”

Dopóki trwam
Dopóki żyją samotne noce
W bezszelestnym bezruchu
Odpływam w mroczne zacisze
Tak daleko od tłumu spojrzeń
Co noc rozbijam myśli
O krawędzie wyobraźni
Każdą z nich dokładnie segregując
Wkładam je do szuflad
Gwieździstego nieba
Potem wyciągam na zewnątrz
Krystalicznie czyste
Jak słowa co płyną
Uczepione o krańce umysłu
Dopóki trwam
Dopóki widzę blask Twojego uśmiechu
Będę szukał drogi
Co wskaże mi przystań
Zmęczonych od samotności powiek

„Nie ma”

Już nie ma granicy
Ostatnie myśli uciekły w otchłań
Nie ma nas
Wtulonych w zacisze czasu
Tam, gdzie pierwszy raz
Anioł rozłożył nad nami skrzydła
I odleciał z ostatnim wspomnieniem
Nie ma łez
Nie ma bólu
Nie ma cierpienia
Nasze oddechy opadły ciężko
Rozbite o krawędzie uśmiechu
Miłość...

To takie banalne
Już bezgranicznie zanikła
Nie ma znów nas
Ostatni pociąg odjechał
Godzinę temu
W podróż
Dotamtąd

Natalia Tryba

„Niedocenieni...”

Spółeczeństwo... zajęte tylko słowem „ja”...
Nie czują, nie rozumieją.
Nie zwracają uwagi na innych...
Nie obchodzą ich Ci lepsi,
Ci, którzy zrobili coś więcej...
Oni... sami dla siebie rosną w siłę...
Niedocenieni.
Oni... jak nikt znają życie.
Oni... jak nikt interpretują myśli.
Oni... jak nikt znają uczucia.
Wyrastają z nizin i wyżyn...
Oni... niedocenieni.

Ewa Tomaszek

„Nadinterpretacja”

Z tęsknotą przychodzi natchnienie
Pijanego miłością poety
Z natchnienia rodzi się słowo
I tak bez końca na wieczność

Bezmiar miłości bezmiar tęsknoty
Wszechobecna cisza
I strach taki zwykły i samotny

Czerwone usta zapałzonej kobiety
Dotykają czule jego spojrzeń

Bezmiar miłości bezmiar tęsknoty

Chwila po chwili
Słowo po słowie
Pocałunek i dotyk –
Idealny duet tego świata

Zakochana ona
Zakochany on
Pijani wieczną miłością
Poszli na koniec świata

Krystian Janik

INTRO

...

Kamień

Bóg dał nam miłość i odebrał na nią czas
Wczorajsze plany i nadzieje trafił szlag
Poranek nas przywitał aromatem traw
Wczorajsza herbata na stole zimna jak...

Jak Bóg
Jak czas
Jak święty fałsz

I gorzka jak...

Jak śmierć
Jak strach
Jak poranna mgła

Czas łaskawy jest tylko dla obłąkanych
Czas sprawia, że marnieją zakochani
Czas sprawia, że stajemy się zgorzkniali
Czas kradnie piękno i przylepia strach

Wczorajsza herbata na stole zinnna jak...

Jak Bóg
Jak czas
Jak święty fałsz

I gorzka jak...

Jak śmierć
Jak strach
Jak poranna mgła

Czy skurwielem jest ten co więcej daje niż posiada
Czy w głowie mej urojony mieszka Bóg
Czy to tylko czas sypie piach na wiarę
Czy jestem już zły, czy tylko zgczrkniały dniem

Czy to już piekło, czy tylko świat
Czy to jeszcze jestem ja, czy tylko głaz

Zimny jak...

Jak Bóg
Jak czas
Jak święty fałsz

Zimny jak...

„Więzień miłości ciemnicy”

*Ja więzień – od całej wieczności lat przykuty do ściany**
Nie umarłem, choć porzuciłem ścieżkę waszej wiary
Teraz obezwładniony widzę ławice ryb morskich

Widzę jak płyną wyjałowione myśli ciętych piranii

A Twoje oczy w jedno oko, w wodne źródło złane
A Twoje dłonie złożone w modlitwie do Pani
A Twoja głowa opadła słodko na moje kolana
A Twoje stopy w wilgotnym piasku zatopione

Ja więzień w celi oszklonej pełnej ciepłej cieczy
Stęskniony życia, kwiecistej ścieżki, górski szlak
Zapadnięta twarz, widzę oczy gwiazd, mam dar
Włosy Twe utkane ze skrzydeł aniołów od lat

A Twoje oczy w jedno oko, w wodne źródło złane
A Twoje dłonie złożone w modlitwie do Pani
A Twoja głowa opadła słodko na moje kolana
A Twoje stopy w wilgotnym piasku zatopione

*cytat z poematu *Pieśń triumfującej miłości* Tadeusza Micińskiego

„Apostazja”

W brudnym kościele nie ma już Boga, nie ma kapłana bez skazy
W brudnym kościele wśród szelestu ciał wznoszą się żądze

W brudnym kościele rzucone modlitwy pod wiatr młodych ciał
W brudnym kościele wśród bezdusznych pieśni wieje wiatr

Kościół przestał być kościołem – wdarła się przestrzeń

*Msza oklapła w impotencji – zwisająca, niezdolna do zapłodnienia**

Bóg zasnął i się nie obudził, nikt wiernych o poranku nie zbudził
Nie rozmnożył się w duszach umarłych czekających na zbawienie

W brudnym kościele nie ma już Boga, jest tylko cisza kosmiczna
W brudnym kościele nie ma podziałów, proroków, bogaczy

W brudnym kościele nie masz bliźniego, przyjaciela, wroga
W brudnym kościele święta głuchota, wśród białych ołtarzy

W Twoich oczach odpływam, w kościele pełnym suchych twarzy
Kamienne ściany, figury święte mają takie puste oczy

W Twoich oczach miłości blask, w kościele zdechłych prawd
Apostazja – ta maszyna stopuje mnie, kończy mój dzień

Apostazja! Apostazja! Apostazja!
Ta maszyna stopuje mnie!

Apostazja! Apostazja! Apostazja!
Lęk!

Apostazja! Apostazja! Apostazja!
Zwątpienie!

Apostazja! Apostazja! Apostazja!
Wieczna miłość pozostanie, gdy wiarę zetrze na proch grzech...

*cytat z powieści *Pornografia* Witolda Gombrowicza

„Wróżbiarz”

Ja – wróżbiarz pragnący nieskalanej miłości
Grzmot brzemienny rozświetlił mój początek
Grom z ciemnego łona otworzył moje oczy
Teraz palcami szczypię wieczności iluzję

Cherem Absolutnego dotyka mej duszy
Aloesu zapach otacza obumarłe ciało
Gdzie jesteś nieskażona brudem ziemi
Matko mych dzieci nienarodzonych?

Ja – ptak bytu okaleczony świętą obłudą
Wzbijam się ponad gęste cienie Styksu
Już wiem, że to Twych pragnę kości
Już wiem, że to Twej pragnę wody

Krzysztof Kunisz

„Apatia”

Zawsze zaczyna się tak,
Że otwieram oczy

Wtedy
Spada na mnie cały ten świat
Ze swoim zgiełkiem i zamieszaniem
Spoglądam za okno
Lecz tam nie ma już czerni i bieli
Wszystko jest szare
Gdzieś zgubiło się
I dobro
I zło
Szara masa nachodzi na naszą dualistyczną otoczkę poznania
A ja chowam świat za kołdrę
Żeby nie widzieć
Jak kończy się czas

Jest godzina trzynasta
Trzeba zacząć żyć
Wypycham z myśli natrętne pytania

...Po co?...

Bo nie znam na nie odpowiedzi
Serce zaczyna pompować krew
Mózg porzuca chaos
Bo przecież tyle mam do zrobienia

Patrzę w lustro
I widzę w nim kogoś, kogo nie znam
Rozbiłbym je, krzycząc:
Oddaj mi odbicie złodzieju!
Lecz, przecież mi się nie chce
Więc przyglądam się nieznajomemu:
Wzrok ma mętny, jakby spojrzenie utkwiał gdzieś daleko

Mięśnie rozluźnione
Nerwy spalone

– Wiesz, co skarbie?
Czuję się jak po znieczuleniu
Przyjemnie odrętwiony jak Waters
Tak naprawdę wisi mi czy to czerń czy biel
Tak po prawdzie nic mnie nie obchodzi
Nic mi się nie chce
– mówi do mnie

– Już jesteś trupem – odpowiadam, czy to grożąc, czy to stwierdzając

Głębia w jego oczach robi się większa, a on sam zaraz znika

Idę coś robić
O czymś marząc
W sumie to szczegóły
Bo w większości przypadków
Po prostu muszę coś robić
I marzę o tym, co wszyscy

Wieczorem siadam przed telewizorem
Jem i piję
Po prostu biorę
Tak, że nie mogę już poruszyć
Palcami u nóg
Produkują dla mnie wódkę
Jak w tej piosence Kultu

Patrzę przez okno
Z okien wszystkich bloków naprzeciwko
Wylewają się wymiociny i ekskrementy
Robi mi się niedobrze
Ale śmieje się z tego
Choć tragicznie

Apatycznie

Znów słyszę to pytanie
Znów nie odpowiadam
Choć odpowiedź gdzieś tam pewnie jest
Tyle, że zbyt jestem zmęczony, zbyt zmuszony
Aby jej szukać

W apatycznym milczeniu odprawiam kwestie przyszłości
Bo jak mam powiedzieć, że po prostu nie mam woli życia?

Świat mnie przygniata
Gubię się w meandrach rzeczywistości
Toteż myślę: Lepiej nie czuć
I już świat traci barwy
Jest szary

A podejrzewam, że wystarczyłoby
Być innym niż inni
Wystarczyłoby kwestionować
Używać rozumu i sumienia
Świat to nie klatka
To TY i nic więcej

Idąc spać, otworzyłem okno
Żeby trochę się przewietrzyło w pokoju
Jak zwykle, każdego wieczora,
Bestia z liczbą 666 na czole,
Władca Otchłani, chichotał na dworze:

– Syssysysysysysysysysysysysysysys...

stem

Zawsze kończy się tak,
Że zamykam oczy

Delilah „Del” Panaglima (Filipiny)

„Walczcie... Jeśli jesteście sobie przeznaczeni...”

Czas, że przemija razem, wspólne daruje nam chwile.
Szczerość serdecznych odczuć i ciepłej ręki dotyk,
z uśmiechem słodkiej bezwoli, a w myśli tak wiele..., niewiele,
że pozostaje na zawsze rwącą trzewia tęsknotą.

Ludzie niezwykli pieśczęty, krytycznym patrzą wzrokiem
i siwe „łamią głowy”, bo jawią się im kłopoty,
jak można poryw wichru dzielić na tchnienia złote?
Ale któż w uniesieniu, zwątpi w potęgę potęg –

Miłość! Co jest rozkoszą i jest spełnieniem godzin,
wzywa nas do prostoty i do najlepszych czynów.
Warto pokonać w sobie bariery i przeszkody,
aby z żółędzi rosły, jak rozłożysta dębina:

wzajemność i współczucie, w splocie ścisłej wspólnoty.
By dawać sobie nawzajem energie własnych mocy.
By dzień był światłem światła a noc światłością nocy.
Wtedy każdy dla siebie wyśni swój sen proroczy.

Przekład swobodny z j. angielskiego Zbigniew Miroslawski

PROZA

motto: „*Literatura to najprzyjemniejszy sposób
ignorowania życia*”

Fernando Pessoa, *Księga Niepokoju*

„DOGONIĆ SAMEGO SIEBIE”

Był sierpień. Zbliżała się, następna rocznica, śmierci mojego młodszego brata. Jak co roku, odżywały we mnie wspomnienia tamtych dni. Nie były to jednak zwykłe wspomnienia, ale żywa pamięć. Jakby jakaś część mnie, cofała się w czasie i przeżywała wszystko na nowo.

Żona od lat powtarzała, że powinienem oszczędzić wszystkim przykrości i zgłosić się do lekarza. Chyba od zawsze wiedziała, że to sobie robię największą krzywdę. Znała mnie i rozumiała. Wiedziała, że to niczego nie zmieni, ale w ten specyficzny sposób przypominała, że nie jestem sam. Jeżeli chodzi o lekarzy, to nigdy nie wierzyłem w ten ich psychologiczny bełkot, a poza tym uważałem, że wcale nie potrzebuję pomocy. Owszem, czasami było naprawdę źle, ale zwykle sam, w kilka dni, dawałem sobie z tym radę.

Zawsze, kiedy było mi ciężko, wybierałem się na samotne, nocne wędrówki po najróżniejszych zakamarkach miasta. I tak, którejś nocy, jakieś 10 lat temu, trafiłem nad rzekę. Stałem na moście, a rzeka wyszeptała dla mnie ciszę, której tak potrzebowałem. Od tamtej chwili, to właśnie miejsce stało się moją świątynią. Aż do owej niezwyklej nocy, kiedy wszystko się zmieniło.

Wyszedłem, jak to miałem w zwyczaju, gdy wszyscy już spali i ruszyłem przed siebie w wiadomym kierunku. Noc była ciepła. Czyste niebo, w całej swej rozciągłości, ukazywało piękno i bliskość gwiazd, a ogromny księżyc, wprawiał wręcz w zakłopotanie wbijając we mnie swoje wielkie, zimne oczy. Pierwszy odcinek drogi pokonałem dość szybko. Dopiero, gdy wyszedłem z miasta opanował mnie spokój. Wiedziałem, że jeszcze około dwa kilometry, a potem będę tylko ja i rzeka. Zwolniłem, żeby jak najpóźniej dotrzeć na miejsce, chociaż w lecie, żadna pora nie gwarantuje zupełnej samotności, tym bardziej nad rzeką. Ale z tym pogodziłem się już dawno temu. Zresztą, pomijając kilka przy-

padkowych samochodów i z rzadka pojawiających się ludzi, prawie nigdy nic nie zakłócało mojej „terapii”.

Do mostu, dochodziło się szerokim łukiem od północnej strony. Był widoczny z daleka, a kiedy dodatkowo oświetlał go księżyc, można było dostrzec nawet pojedyncze szczeble barierki. W okolicy nie było zbyt wielu zabudowań, dlatego nocą zazwyczaj panowała tu cisza. A do tego, rzeka na tym odcinku, była rwąca i zdradliwa, więc nawet wędkarze rzadko się tu zapuszczali po zmroku.

Szedłem, powoli mijając przydrożne drzewa i krzewy. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zdołam znaleźć odpowiedzi na własne pytania. Myślałem o bracie, o śmierci, o przyczynach i skutkach, o poczuciu winy, tęsknocie i przeznaczeniu. Przez chwilę byłem jak wędrowiec, który zgubił drogę we własnym umyśle. Nagle, coś zauważyłem. W prześwicie pomiędzy drzewami, mignął mi obraz mostu, a na nim zarys jakiejś sylwetki. Nieruchoma, przygarbiona, ciemna niczym porzucony cień, jak zimny, kamienny gargulec na dachu starej katedry. Przemknęła mi myśl o śmierci. Pomyślałem, że po tylu obelgach pod jej adresem, na pewno czeka na mnie z otwartymi ramionami, ale przypomniałem sobie także, stare powiedzenie weteranów z Wietnamu: „po śmierci, i tak trafię do nieba, bo w piekle już byłem”. Uśmiechnąłem się tylko w duchu i ruszyłem szybszym krokiem w kierunku mostu. Rozsądek podpowiadał, że to jednak człowiek.

Byłem gotów walczyć o swoje, przecież od lat to miejsce NALEŻAŁO do mnie. Ale im bliżej podchodziłem, tym moje kroki stawały się cichsze, a chęć odbicia „własności”, zmieniała się w zrozumienie. W końcu bez względu na to, kto to był i co go tu przywiodło, miał takie samo prawo do tego miejsca jak ja.

Zbliżyłem się do mostu i ku mojemu zdziwieniu, nie zastałem na nim nikogo. Przez moment zastanawiałem się, czy to nie było przywidzenie. Jednak najprostszym wyjaśnieniem było, że ten ktoś po prostu mnie usłyszał i ulotnił się, zanim tu dotarłem. Nie dawało mi to spokoju. Przecież widziałem. Ktoś tu na pewno był. Nie mógł odejść niepostrzeżenie. Zagadka zawładnęła mną na dobre. Terapię mogłem uznać za zakończoną, zanim na do-

bre się zaczęła – szlag by to trafił – zakląłem pod nosem. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko nacieszyć się widokiem i wracać do domu.

Ustawiłem się twarzą w górę rzeki. Lubilem sobie wyobrażać, że przynosi mi siłę ze źródeł, że napływa do mnie. Lecz tym razem było inaczej. Czułem, że prócz szumu i plusków, niczego nie przynosi. Piękno i cisza już nie miały znaczenia. Poczułem, że rzeka ode mnie ucieka. Podświadomie przeszedłem na drugą stronę mostu i przyglądałem się jak rzeka znika w ciemnościach. Nie była matką, co utuli w płaczu, a raczej kochanką, która tylko kusi obietnicą zapomnienia. Postanowiłem przełożyć wizytę na następną noc.

Jednak, jakiś wewnętrzny głos, nie pozwalał mi po prostu odwrócić się i iść. Jakbym nie panował nad sytuacją. Stałem zdezorientowany, a umysł skierował moją uwagę, na drobne fale połyskujące światłem księżyca. Były jak ludzie. Płynęły obok siebie tworząc nurty, wiry i zatoczki. Błyszczały, przez ułamki sekund, odbijając światło, a później znikwały. Były też i takie, które zwyczajnie rozbijały się o skalisty brzeg.

Gdy tylko o tym pomyślałem, skierowałem wzrok ku brzegom rzeki i wtedy dostrzegłem dziwny kształt. Coś delikatnie falowało przy brzegu. Wytężałem zmysły. Pomimo tego, że jestem dalekowidzem, w ciemności nie mogłem dostrzec, co to było. Wszystko mówiło mi, że to mógł być człowiek, ale nie chciałem nawet o tym myśleć. Jednak wciąż istniał ten wewnętrzny głos, a może była to zwykła ciekawość. Sam już nie wiem. Pewne było tylko to, że MUSIAŁEM to sprawdzić.

Ruszyłem szybkim krokiem do miejsca, gdzie najbezpieczniej mogłem dostać się nad wodę. Nawet teraz, gdy wszystko było zatopione w ciemnościach, nie sprawiało mi to wielkiego problemu. Zdążyłem już dosyć dobrze poznać okolice mostu. Wiedziałem, która ścieżka doprowadzi mnie najbliżej znaleziska. Na szczęście księżyc, jakby współgrał z moimi oczami, świecił tak jasno, że ani razu nawet się nie potknąłem. Dopiero, gdy dotarłem do kamienistej części brzegu, zaczęły się „schody”.

Przez cały czas odczuwałem niezrozumiały przymus. Coś popychało mnie tak mocno, że nie zwracałem już uwagi na własne bezpieczeństwo. Stopy klinowały mi się między kamieniami, stawy trzeszczały niemiłosiernie, lecz nie czułem bólu, tylko w głowie wciąż pulsował wszechświat i jedno słowo: SZYBCIEJ!

Nie wiem jak długo to trwało – czas przestał istnieć – ale w końcu dotarłem w pobliże miejsca, gdzie oczekiwałem rozwiązania zagadki. Jeszcze dwa, może trzy metry...

Z odległości około metra dostrzegłem ciemny, nieznacznie poruszający się w rytmie fal bijących o kamienie kształt. W kilka sekund byłem tuż przy nim. Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Jednak człowiek. Leżał, właściwie cały zanurzony w wodzie – jakby próbował wczłgać się na brzeg, ale zabrakło mu sił – z twarzą, raz po raz zalewaną przez drobne fale. Nie było czasu na zastanawianie się, pytania, czy odpowiedzi, liczyło się tylko działanie.

Złapałem go delikatnie za głowę i uniosłem ją tak, żeby nos i usta wystawały ponad wodę, ale potrzebowałem przecież wolnych rąk. Sprawdziłem puls. Delikatny ruch tętnicy, ledwie wyczuwalny pod zziębniętą warstwą skóry mówił, że nie jest za późno. Nie zastanawiając się dłużej, usiadłem układając jego głowę na kolanach i chwyciłem za telefon komórkowy, żeby zadzwonić na pogotowie. Nie mogłem się dogadać z dyspozytorem, więc podałem tylko miejsce zdarzenia i czekałem. Oczekiwanie na przyjazd karetki spędzałem na rozmyślaniach. Zastanawiałem się, czego musi doświadczyć człowiek, jaką tragedię przeżyć, żeby zdobyć się na tak radykalne wyjście. Nie wiedziałem nawet, czy ktokolwiek potrafi jednoznacznie odpowiedzieć na tak zadane pytanie.

Czas mijał. Powoli zacząłem powątpiewać, czy w ogóle ktoś przyjedzie. Może coś pomyliłem, może niedokładnie opisałem miejsce, może nikogo to nie obchodzi... Jeszcze raz sprawdziłem tętno. Zimna woda robiła swoje. Delikatne pulsowanie pod skórą niedoszłego topielca, zaczęło zanikać. Nie mogłem dłużej czekać. Próbowałem przypomnieć sobie zasady postępowania w takich przypadkach. Niestety, musiałem postawić na ratowanie życia,

więc nie zważając na ewentualne urazy kręgosłupa, zacząłem powoli odwracać jego ciało tak, by móc wykonać masaż serca i oddychanie usta-usta. Dopiero wtedy, tak naprawdę, przyglądnąłem się jego twarzy. To, co zobaczyłem wprawiło mnie w osłupienie. Jego twarz wydała mi się znajoma, powiedziałbym, że nawet dobrze znana. To była moja twarz. Patrzyłem na samego siebie.

Trudno opisać wszystkie wrażenia i myśli, które w ciągu paru sekund, zawładnęły moim życiem. Z jednej strony, próba ratowania samego siebie przed samotną śmiercią w objęciach rzeki, a z drugiej szacunek do siebie i własnych decyzji. Jeżeli to był mój wybór, to musiałem mieć powód... Zaraz, przecież ja to ja, a nie on to ja, a może ja to on... Zacząłem gubić się w labiryncie pulsujących myśli. Nie istniało nic poza chaosem wewnętrznego wszechświata i jakże prawdziwym, widokiem mojej głowy na własnych kolanach. Już nic do mnie nie docierało. Stawałem się jednym wielkim pytaniem bez odpowiedzi.

Gdy ocknąłem się w szpitalu, byłem tak zdezorientowany, że w pierwszym momencie usiadłem energicznie i zacząłem szukać swojej głowy na kolanach. Jednak od razu zauważyłem, że leżę w szpitalnym łóżku otoczony całą tą aparaturą, a na krześle obok śpi moja żona. Wyglądała na zmęczoną. Pomyślałem, że trzeba być strasznym durniem i egoistą, żeby uciekać od siebie i tych, którzy nas kochają, sprawiając im przy tym ból tak potężny, że mógłby powalić byka.

Po dwóch dniach byłem w domu. Nigdy więcej nie wracałem do wydarzeń z tamtej nocy. Zresztą, kto uwierzyłby, prócz mojej żony, w urojenia niedoszłego samobójcy? A może jednak...?



Siedział między nimi, a zawsze obok nich, nieistniejący, popychany, wyśmiewany, słyszał ich szepty, po których następowały ataki śmiechu, pełnego cynizmu, ironii, bo nie był jednym z nich, głupie uwagi, obraźliwe słowa i gesty... powoli, bardzo powoli rósł w nim gniew... nie był gwałtownym osobnikiem, wręcz przeciwnie... uosobienie spokoju, może właśnie dlatego stał się obiektem ich drwin, zaczepek... a potem, pewnego dnia, już nie wytrzymał...

Rano otworzył oczy i wiedział, że to ten dzień... na spokojnie, z uśmiechem i zadowoleniem, choć nie podejrzewał się o takie uczucia, wstał, zrobił to, co codziennie, najbanalniejsze czynności pod słońcem, jakie robi się przed wyjściem z domu do pracy, do szkoły, itd. ... był zadowolony, czuł, że ten dzień wszystko zmieni i nie było dla niego istotne, na lepsze, czy na gorsze... spokojnie wszedł pomiędzy nich, nie spodziewali się niczego, byli kompletnie zaskoczeni, tak jak się spodziewał... stanął twarzą w twarz przed pierwszym, wymierzył mu spojrzenie, tamten zatoczył się, poleciał na ścianę, gubiąc po drodze zęby, siadł na podłodze, jak kukielka bez sznurków...

poszedł dalej, wiedząc, gdzie szukać pozostałych... tak, jak się spodziewał, byli tam...

wszedł do sali i zaczął strzelać spojrzeniami, a po każdym oddanym strzale, każdy z nich, jeden po drugim, padali w tył w groteskowych pozach, z niedowierzaniem i z przerażeniem na twarzach i w oczach...

Działal szybko, spojrzenie – wystrzał, spojrzenie – wystrzał... wyglądali zabawnie miazgą zamiast twarzy, wielką dziurą w klatce piersiowej, tam gdzie sekundę wcześniej było serce, czy z wylewającymi się z brzucha wnętrznościami... trochę zabawy i od razu lepiej... nie zwracając uwagi na ich docinki, z tajemniczym uśmiechem na twarzy zajął swoje miejsce... dziś czuł się silny... ech, właśnie odważył niezłą jatkę i nie miało znaczenia, że tylko w swojej wyobraźni... cóż, mała rzecz, ale zawsze cieszy.

„Z...a”

Zacznę banalnie i o ile wystarczy mi cierpliwości, równie banalnie zakończę. Ma być banalnie, więc będzie. Nazywam się Darecki. Roman Darecki i wbrew pozorom nie jestem fanem Jamesa Bonda czy też innego MacGyvera. Nie jestem fanem Batmana, a tym bardziej Supermana. Jestem normalnym zwyczajnie nienormalnym człowiekiem pozbawionym nadprzyrodzonych zdolności. Nie potrafię węszyć, tropić, a o lataniu, czy też seryjnej produkcji samochodów marki Citroen C3, z malutkich czechowickich zapalek nawet nie myślę. Nie ten odpał, nie ten zapłon. Nie ten czas i nie to miejsce. Tak, tak na pewno nie to miejsce. Żyję, hmmm... próbuję żyć. W mieście, w którym jeszcze do niedawna mieścił się Urząd Wojewódzki. Właściwie to i tak niewiele zmieniło się tutaj od tamtego czasu. Te same twarze, ta sama nuda w różnych konfiguracjach i zero powiewu świeżości. Nihil novi. Prowincjonalny zaścianek, posiadający własne, osobiste Rondo imienia RONalDA Reagana. Tak, więc i tutaj dotarła transformacja o twarzy cheesburgera w charakterystycznej bejsbolowej czapeczce typu Made in McDonald's – spotkajmy się. West wind. – How are you? – Thank you of course! Władze w mieście - Ronald najmłodszy. Takie miejsce. Nie to miejsce i nie ten czas. A czas, no cóż wciąż płynie i zawsze nie ten. Banalne, nieprawdaż? Ale czy życie w całej swej okazałości, w całym swym dostojństwie nie jest li tylko jednym, wielkim, doczesnym banałem? Niech, zatem wszystko trąci banałem w całym, wzniosłym i wiecznym majestacie jego!

Nie potrafię jednoznacznie określić, co skłoniło mnie do spisania tej historii. Może to, iż czytanie przestało mi już wystarczać, podobnie zresztą jak i zabawa w poezję. Wiersz albo jest, albo go nie ma. Ciężko czekać na natchnienie i dusić siebie w sobie. Chciałem zwalczyć prowincjonalną nudę, by nie dać się zwariować? A może prawda jest o wiele prostsza, o wiele bardziej prozaiczna. Być może wczoraj, robiąc zakupy w osiedlowym Supermarkecie natknąłem się na promocję długopisów mar-

ki „Długopis” – sztuk 4, wszystkie czarne, z 24-miesięcznym okresem gwarancyjnym i co najważniejsze za jedyne 99 groszy polskich. Zastanawia mnie tylko jedno, czy gdybym niechący nadepnął na jeden spośród nich, producent gotów byłby zwrócić mi należne 24, 75 grosze polskie? Chcący, niechący sprawdził nie będę. Nie będę deptał długopisu producenta zeszytu A5, 80-kartkowego w linie, w który zaopatrzyłem się przy okazji, inwestując dodatkowe 159 groszy polskich. Tak, więc piszę. Piszę, bo mogę pisać. Piszę, bo stałem się szczęśliwym posiadaczem 4 długopisów marki „Długopis” i 1 zeszytu A5/80k Linia. Piszę, bo mam, czym i na czym pisać. Piszę, bo taki mam kaprys. A kaprys... Kaprys to jest kaprys. A mój kaprys to zwykły i banalny Gigakaprys. Kaprys rzędu „Gdy rozum śpi, budzą się demony” Czuję się wyróżniony! Ot, taki prowincjorosły Czterdzieści i cztery. Czterdzieści cztery gramy cierpienia i ani grama więcej, ani grama mniej. I co? I nic. Jestem szczęśliwy i nie czuję dodatkowego balastu. Tak między Bogiem, a prawdą, o wiele bardziej cięży mi 7000 gramów, którymi uszczęśliwiłem się w przeciągu ostatnich 3 miesięcy. Roman Darecki – polski odpowiednik Bridget Jones, tyle, że w spodniach, miast w spódnicy. Good Morning. My name is Jones. Rommie Jones. All right? Tak, tak wszystko w porządku, w s z y s t k o w j a k n a j w i ę k s z y m p o r z ą d k u! Takie czasy, a jak już powszechnie wiadomo „każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach”. Każda epoka ma swych bohaterów. Dlaczegoż by jednym z nich nie mógł zostać Roman. Roman Darecki alians Rommie Jones? Czemu nie! Banalne czasy, banalny bohater. Korelacja wzajemna, desperacki akt idealnej symbiozy ostatecznej. Bohater czasów na miarę czasów. Ani pozytywny, ani bardziej negatywny. Ani lepszy, ani mniej gorszy. Ani mniej mądry, ani bardziej głupi. Krew z krwi, kość z kości czasów epoki globalnej wioski. Nazywając rzecz po imieniu Wieśmac totalny – model MacDarecky. Obywatel świata wirtualnych doznań. Wersja limitowana – jeszcze nie sklonowana. Uchowaj Boże! Good save People! Stop! Jeden wystarczy! Z dwoma i tak nie wytrzymałby nikt skoro z jednym nikt nie wytrzymuje! Cóż bywa i tak.

Jak już wspomniałem próbuję żyć w takim, a nie innym czasie, w takim, a nie innym miejscu, w takim, a nie innym świecie, Pięćdziesiąt i siedem tysięcy gramów żywego mięsa plus czterdzieści i cztery gramy cierpienia, w sumie pięćdziesiąt siedem tysięcy i czterdzieści cztery gramy mniej. Ani zbyt dużo, ani zbyt mało. By żyć wystarczy – więc próbuję. Padam, podnoszę się – podnoszę się padam. I tak na okrągło. W te i nazad. Się żyje – po prostu – się żyje. Tutaj się naśmiecici, tam się posprząta. Tam się coś zburzy, tutaj wybuduje. Tutaj się coś popsuje, tam się coś naprawi. Summa summarum bilans musi być zerowy. I tak to zwykle wygląda, i tak to zwykle bywa, i tak to zwykle jest. Próbuję żyć. Badania naukowe dowodzą – próbować warto. Praca – dom – praca – weekend. Praca – dom – praca – ferie. Praca – dom – praca – Wielkanoc. Praca – dom – praca – 3 maj. Praca – dom – praca – wakacje. Praca – dom – praca – 1 listopad. Praca – dom – praca – 11 listopad. Praca – dom – praca – Boże Narodzenie. Praca – dom – praca – weekend. Itd. Itp. W moim wieku albo się już pracuje, albo się jeszcze szuka pracy. A ja i owszem pracuję. Już pracuję. A praca, no cóż... jest. Nie ważne jaka, nie ważne gdzie, nie ważne za ile. Jest po prostu jest i wystarczy. Na razie wystarczy. Tymczasem za sobą mam już ferie i kilka weekendów Anno Domini A++D. Cała reszta jeszcze, zatem przede mną. Zachowując chronologię, w tym roku czekają mnie jeszcze: nudny koniec zimy – nudna wiosna – nudne lato – nudna jesień – nudny początek zimy. No chyba, że... Jednak póki, co wcieram wazelinę w buty. Całkiem niezły patent. Jeśli ubrałbym teraz niezbyt obcisłą spódniczkę mini, to zważywszy na mój niski wzrost, mógłbym dostrzec fason i kolor swoich, własnych i osobistych slipów. Nie potrzebuję jednak podniet tego typu. Tym bardziej, iż z pobudek estetycznych, całe przedsięwzięcie wiązałoby się z przykrą koniecznością ogolenia łydek. Bardzo dziękuję w mężczyznach nie gustuję! Powiem więcej, wolę widok kobiecych łydek porośniętych szczecina, niżli widok gładkich łydek mężczyzn. Mam swoje zasady i w imię swoich zasad nie tykam się swoich nóg. Tykam się za to swojej głowy. Ot, tak po prostu z większą lub z mniejszą częstotliwością golę skin na head. Mu-

szę przyznać, iż w tej dziedzinie mam już całkiem niezłe osiągnięcia. Zdarza mi się jednak niekiedy okrutnie przy tym nagimnastykować. Wszystko zależy, bowiem od mojej, własnej, psychofizycznej dyspozycji. Moje, własne, słabsze samopoczucie jest nierzadko wprost proporcjonalne do głębokości moich, własnych, osobistych ran ciętych, zadawanych ostrzem mojej, własnej, osobistej żyletki. Nie muszę chyba dodawać, że moje, własne, osobiste żyletki, to najzwyklejsze i najnormalniejsze pod moim, własnym, osobistym słońcem, moje, własne, osobiste żyletki. Skin na head winno się golić speed. W przeciwnym razie mogą pojawić się niewielkie, acz bardzo rzucające się w oczy czerwone plamki. Z moich, własnych, osobistych obserwacji wynika jednakowoż, iż po upływie około 259 200 sekund „problem plam znika sam”, pod warunkiem, że nie są to zaschnięte strupy ran ciętych. Pełne namiętności zamiłowanie do usuwania owłosienia czołowo-potyliczno-skroniowego nie jest oczywiście jedynym moim hobby. Mam ich naturalnie o wiele, wiele więcej. Jednym z nich jest równie banalne, ale o wiele mniej kosztowne (parafrazując wypowiedź dotyczącą książek autorstwa pewnej, pięknej i zapewne mądrej współtowarzyszki i współtrywalki w castingu o indeks wyższej uczelni: „żyletki są drogie”), a nawet wręcz przeciwnie, przynoszące niewielkie profity – zbieranie monet z ulic i chodników. Zbierałbym również i banknoty, gdybym tylko miał szczęście je znajdować. Póki, co muszę się jednak zadowolić monetami. W przeciągu bez mała 730 dni udało mi się wzbogacić w ten sposób o 172 grosze polskie. Na tą zawrotną sumęłożyło się: trzydzieści 1-groszówek, sześć 2-groszówek, dwie 5-groszówki, dziesięć 10-groszówek i wreszcie jedna 20-groszówka. Jak łatwo obliczyć po bilony schylałem się 49 razy. Mogę, więc śmiało nazwać się doświadczonym zbieraczem - kolekcjonerem. Z racji tego, iż z reguły nie jestem zainteresowany tzw. „wyścigami szczurów” mogę bezinteresownie podzielić się z Wami swoimi doświadczeniami i obserwacjami odnośnie uprawianego przeze mnie hobby. Rzecz najważniejsza nie wymaga ono żadnych nakładów finansowych i co równie ważne nie jest zbyt czasochłonne. Oczywiście cały czas mam na

myśli tylko i wyłącznie zbieraczy – kolekcjonerów, a nie zwykłych dorobkiewiczów – ciułaczy. Ci drudzy stanowią, bowiem zupełnie odrębną kategorię pieniądzozbieraczy, niemającą zbyt wiele wspólnego z prawdziwymi hobbystami. Prawdziwy hobbysta to zazwyczaj prawdziwy romantyk z prawdziwego zdarzenia. Romantyk, który wartość znalezionych monet mierzy ich ilością, a nie nominałem. Romantyczny hobbysta, dla którego nie mają większego znaczenia tysiące metrów przemieszanych podczas pieszych wędrówek, choć mogą mieć one większe znaczenie dla jego butów. Na ten przykład ja sam, osobiście, w przeciągu 730 dni zachodziłem 2 pary nowiutkich, z pozoru solidnie wyglądających glanów. Nie zrzucam jednak tego nieszczęścia (bez glanów czuję się jak bez nóg) tylko i wyłącznie na karb mojej pasji. Byłbym, bowiem niesprawiedliwy. Sam zapracowałem sobie na swoje nieszczęście. Hmmm... Właściwie ujmę to inaczej: sam nie zapracowałem sobie na swoje szczęście. Ja sam chodziłem po błotach i kałużach. Ja sam nie myłem i nie pastowałem butów. Ja sam zacząłem używać wazeliny do różnych, innych, niecnych czynów. Ja sam, bez niczyjej pomocy. Trzeba jednak przyznać, iż z wiekiem i z każdą kolejną parą butów człowiek staje się cokolwiek bardziej rozsądniejszy, a w stosunku do zachodzonych butów to wręcz nawet cokolwiek bardziej czulszy i cokolwiek bardziej opiekuńczy. Odpowiednie traktowanie obuwie procentuje zazwyczaj odwzajemnionym uczuciem. Tak, więc „przykazanie nowe daję wam byście się wzajemnie miłowali”. Krótko mówiąc: szanuj buta swego jak siebie samego.

Zadreptane obuwie w przypadku zbieraczy – kolekcjonerów nie ma w zasadzie nic wspólnego z czasem i z przestrzenią przemierzanymi w poszukiwaniu okruszków szczęścia. Wzrokowa penetracja okolic okołoziemskich w wydaniu hobbystów nie przybiera, bowiem charakteru postaci o maniakalno-fanatyczno-paranoicznych tendencjach. Uliczno-chodnikowi hobbyści, w przeciwieństwie do uliczno-chodnikowych dorobkiewiczów, w pełni kontrolują swoją pasję. Kolekcjonowanie odnalezionych monet stanowi dla nich wartość samą w sobie. Nie sposób, zatem spotkać ich ospale snujących się lub rześko spacerujących

bez ściśle określonego celu. Poławiania monet z uliczno-chodnikowych toni i odmętów dokonują oni w drodze do: przedszkola, szkoły, pracy, sklepu, kościoła itd., itp. Tak, tak zbieraczem-kolekcjonerem znalezionych monet można być niezależnie od wieku, niezależnie od profesji, niezależnie od statusu społecznego. Procedurze tej nie przeszkadza zarówno, ani zarówno nie pomaga niemanie koloru włosów lub koloru włosów manie. Wygląd zewnętrzny nie ma tutaj większego znaczenia. O wiele ważniejsze jest wnętrze! Dusza! Serce! I wzrok! Zatem miej serce, wzrok, wnętrze oraz duszę i patrzaj na uliczne i chodnikowe błota i kałuże! Monetozbieractwo – etymologicznie nie mające nic wspólnego z jednym z twórców i najbardziej konsekwentnym przedstawicielem impresjonizmu – nie zna granic. Nie zna granic czy to terytorialnych, czy też gospodarczych, jak również kulturowych. Jedno jest pewne. Moneta nie jedno ma imię. No, cóż jak ją zwał, tak ją zwał, moneta jest zawsze moneta, a monetokolekcjoner jest zawsze monetokolekcjoner. Nie ważna waluta. Zawsze i wszędzie i o każdej porze centokolekcjoner znaczy dokładnie tyle samo, co groszokolekcjoner, czy też inny kopiejkokolekcjoner. Prawdziwy miłośnik monet zgubionych-znalezionych nigdy, ale to przenigdy nie narusza, bowiem suwerenności swojej kolekcji i jej prawa do samoistnego istnienia poza przeznaczonym na próbożycie budżetem. Próbożycie winno odbywać się tylko i wyłącznie - za swoją, własną, wypracowaną swoimi, własnymi rękoma lub swoją, własną głową – swoją, własną gotówkę. Dlatego też ręce precz od zgubionych-znalezionych! Ręce precz od jąder kolekcji! Nie dotykać eksponatów! Zakaz obowiązuje od zawsze, aż do odwołania! Odwołanie zakazu równa się z likwidacją kolekcji. Owa dematerializacja zbiorów winna być jednak poddana gruntownej i doskonale przemyślanej analizie typu plus – minus. Należy, więc rozważyć wszystkie za i przeciw. Wszystkie tak i nie. Ta swoistego rodzaju kalkulacja, musi być przeprowadzona po uprzedniej konfrontacji ze swoim, własnym i osobistym sumieniem. Rzeczowy i obiektywny dialog możliwy jest tylko i wyłącznie w przypadku nieskazitelnie czystego sumienia, a co za tym idzie nieskazitelnie czystego umysłu. Żad-

nej, ale to żadnej decyzji nie można podejmować zbyt pochopnie, a już na pewno nie w stanie nieważkości psychicznej lub fizycznej. Długotrwałemu procesowi upodlania się, krzyknijmy w przekrwione źrenice stanowcze: nie!!! Trzeźwe spojrzenie – Twoim spojrzeniem! Oczywiście w granicach rozsądku i powszechnie przyjętych norm. Ortodoksyjny przesadyzm nie jest wskazany. Od czasu do czasu można, a wręcz nawet trzeba – „z całego serca swego, z całej duszy swojej, ze wszystkich sił swoich” – najzwyczajniej w świecie solidnie się sponiewierać. Zgłębić się zupełnie i bez reszty. Otóż, to! W myśl powiedzenia: „co mnie nie zabije – to mnie wzmocni”! Tak, tak święta prawda. Święta, przenajświętsza prawda nad prawdami. Ludzka rzecz upadać – ludzka rzecz podnosić się.

Jak mawiał Publius Terentius Afer: „człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce”. Przyznaję niekiedy, jednak zdarza mi się mocno w to powątpiewać. To znaczy nie wątpię w to, że nic co ludzkie nie jest mi obce, wątpię natomiast w to, że jestem człowiekiem. Nie, nie myślcie sobie, że uważam się za kogoś gorszego. W żadnym wypadku. Wręcz przeciwnie. Wydaje mnie się, że jestem kimś-czymś lepszym. Kim?-czym? A skąd ja mam to wszystko wiedzieć?! No, skąd!? Ktoś-coś, chociaż raz szepnął mi słówko o tym, kim?-czym? jestem? Nigdy nikt-nic, ani słoweczka szeptem czy na ucho, obojętnie które! Od kogo?-czego?, zatem miałem się dowiedzieć, że ja to kto?-co? jestem?! Od nikogo-niczego!

Tak to sobie sprytnie czasem kombinuję, myślę, mniemam, że ja, to jak nic muszę być jakaś skrzydlata istota. Może Anioł, może Amor, a może Kruk. Wszelkie znaki na Niebie i Ziemi świadczą o tym, że moim żywiołem jest nie Ogień, nie Woda, nie Ziemia, a Powietrze. Tak, tak Powietrze. Przypuszczam, iż właśnie z tego też powodu fascynują mnie pieszce wędrowniki. Zapewne, gdyby nie powyższy fakt, nigdy nie odnalazłbym w sobie kolekcjonerskiej żyłki. Nigdy nie odnalazłbym żadnej monety, nawet tej o najskromniejszym nominale. Teoretycznie na pewno nie, praktycznie być może tak. Ja wolę mieć jednak pewność. Dlatego też oddaję się kolekcjonomonetozbieractwu na świeżym-

nieświeżym powietrzu, a nie w zamkniętych pomieszczeniach mieszkalno-administracyjno-gospodarczych. Poza tym jak już wszem i wobec wiadomo „pieniądze leżą na ulicy”. Większej roli nie odgrywa przy tym tutaj procentowa wysokość współczynnika bezrobocia, obszaru objętego poszukiwaniami. Ludzie zawsze gubili, zawsze gubią i zawsze będą gubić pieniądze. Nie ważne, zatem czy penetracji poddamy ulice miast, miasteczek, wsi czy wioseczek. Kolekcjonomonetozbieractwo ma, zatem przeszłość, ma terażniejszość, a co najważniejsze ma również i przyszłość. Ot i taka refleksja. Taka moja, własna, osobista prognoza futurologiczna. Ale czy też do końca życia będę kolekcjonerem? Trudno powiedzieć, mniemać, wyrokować. Jeśli nie zakiełkuje we mnie ziarenko dorobkiewicza, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak.

Póki, co dobrze mi z tym i nie zamierzam niczego zmieniać. Nie chcę zmieniać niczego! Chociaż, gdybym posiadał moc ingerencji w odwieczne prawa natury na pewno ograniczyłbym nieco czas trwania lata i zimy. Nie darzę sympatią upałów porównywalnie tak samo jak i mrozów. Byłbym za tym, by zarówno lato jak i zarówno zima potwały sobie maksymalnie 1 209 600 sekund. I ani ułamek sekundy dłużej. Pozostałą część roku, a więc 29 116 800 sekund, a w przypadku lat przestępnych 29 203 200 sekund rozdzieliłbym sprawiedliwie pomiędzy wiosnę i jesień. Na razie jednak, wciąż nie mam na to wpływu. Nie mogę sobie swobodnie i na luzie dysponować sekundami. W tej materii jestem bezradny. Leżę i kwiczę z zimna lub z ciepła i się nie podnoszę. A ja tak bardzo lubię jesień! Tak bardzo lubię wiosnę! Tak bardzo nie lubię zimy! Tak bardzo nie lubię lata! Srutututu majtki z drutu, a za nimi kurdupelki powisały do butelki. Moje gadanie i tak nic tutaj nie zmieni. Mogę sobie wrzeszczeć do woli: Abra Kadabra Hocus Pocus Bęc! i dalej nic się nie dzieje i przypuszczam, że dalej nic dziać się nie będzie. Tak naprawdę to kiepski ze mnie Czarnoksiężnik, Czarodziej, Mag czy jak go tam inaczej nazwać. I co mam się popłakać z tego powodu? Podciąć sobie żyły? Powiesić się? Wyskoczyć z okna? Odstrzelić sobie głowę? Tak? O nie, tak lekko to nie ma. Tak lekko to nigdy

nie było. Tak lekko to nigdy nie będzie. Póki, co nie planuję zejścia. Nie planuję żadnego banalnego zejścia! Jeżeli już... kiedyś... sam na siebie... rękę to tylko i wyłącznie pod wpływem impulsu. A trzeba przyznać, że co, jak co, ale impulsy miewałem, miewam i zapewne będę miewał nadal. Tak już jakoś dziwnie mnie skonstruowano i równie dziwnie zaprogramowano. Przyzwyczailem się jednak do siebie i ani mi z tym dobrze, ani mi z tym źle. Po prostu mi z tym nijak. Staram się o tym nie myśleć. Myślenie nic, a nic mi tutaj nie pomoże, a w tym konkretnym przypadku wręcz przeciwnie, może mi tylko tutaj zaszkodzić. Wolę, więc w głowę nie zachodzić. Czterdzieści i cztery gramy cierpienia jak na razie wystarczą. W zupełności wystarczą! Mam wrażenie, że i tak więcej, częściej i gęściej niż inni myślę, czuję i widzę. Nie uwłaczając nikomu rzec można, prawdziwy Homo Sapiens ze mnie. Cóż zrobić. Nie ma mientkiej gry. Kto nie gra, nie wygrywa, a Fortuna kołem się toczy. „Madziu pocałuj pana. Madziu podrap pana po łydce. Madziu nie kop pana, bo się spocisz!” Krótko mówiąc: samo życie. Samo najprawdziwsze życie.

Jako wytrawny zbieracz-kolekcjoner cośkolwiek o tym wiem. Na ten przykład wiem też, iż dla kolekcjonomonetozbieracza pora żniw zaczyna się wraz z ustąpieniem ostatnich śniegów. Kończy się natomiast wraz z pierwszymi śniegów nastaniem. Nie, nie wcale nie twierdzę, iż okres śnieżnego szaleństwa to martwy sezon dla monetozbieraczy. Na pewno nie. Oczywiście, że nie. W żadnym wypadku, absolutnie nie. Zima to pora prawie tak samo dobra jak każda inna. Prawie tak dobra jak wiosna. Prawie równie dobra jak lato. Prawie tak równie dobra jak jesień. Prawie równie tak samo dobra, lecz trochę gorsza. Nie, nie obawiajcie się w okresie zimowym nie notuje się spadku częstotliwości gubienia monet. Co to, to nie. Miast tego notuje się jednak spadek temperatur. I tutaj jest pies pogrzebany. i tutaj zagrzebany jest pieniądz. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach. No coś bywa i tak, tak bywało i tak bywać będzie.

Szczegółem – mogącym odgrywać niebagatelną rolę i mogącym mieć niepośledni wpływ na postawę każdego kolekcjono-

monetozbieracza zimowego – jest chroniczny katar. Tak, tak zwykły, prozaiczny, banalny, chroniczny, zimowy katar. Szczegół nabyty, niezwykle niebezpieczny dla zdrowia, a w niektórych przypadkach nawet i dla życia. Zwykły banał, w dodatku potwierdzony i udowodniony w teorii i w praktyce. Zwykle nic o kolosalnym znaczeniu nie tylko dla zwykłych śmiertelników, ale i dla niezwykle kolekcjonerów. Kostucha nie wybiera. Zwykły – niezwykle nie ma różnicy. Wszyscy do jednego wora. Zwykła, jedyna i odwieczna sprawiedliwość dziejowa. Parafrazując można by, rzec: sprawa znana od pokoleń, których tyle już ubyło, że zmieniają się ludziska, lecz Kostucha wciąż ta sama. To pewne jak amen w pacierzu. Wniosek jest jeden, banalny i niepodważalny: w obliczu śmierci wszyscy jesteśmy równi wobec siebie. Ani od innych lepsi, ani od innych gorsi. Śmierć stawia znak równości. Lepiej jej jednak nie prowokować, nie zachęcać, nie kusić, bo i po co? Każde nieprzemyślane działanie może grozić śmiercią. Kto jak kto, ale kolekcjonomonetozbieracz powinien to wiedzieć. Powinien to wiedzieć i powinien o tym pamiętać. Powinien pamiętać, że zimowe spacerzy z nosem przy ziemi mogą się skończyć dlań tragicznie. Bardzo tragicznie. Przy odrobinie wyobraźni nie trudno wyobrazić sobie następującą sytuację. Trzaskający mróz, oblodzone chodniki i ulice oraz zbieracz-kolekcjoner cierpiący na chroniczny katar. Sceneria iście Hitchcockowska i iście Hitchcockowski scenariusz. Kolekcjonomonetozbieracz przymarznięty na linii nos – ziemia, tkwiący nieruchomo, z błyskiem przerażenia w oku i z nadzieją w sercu, że a nuż będzie przechodził jakiś altruista, a taki to na pewno powinien pomóc. W przeciwnym wypadku kaplicha. Straszne, ale prawdziwe. A to i tak wersja optymistyczna z altruistą w tle! Co będzie, gdy takowy nie pojawi się na horyzoncie? No, co? Kaplicha murowana! Śmierć pewna, po prostu umarł w butach. Przyczyny zgonu: odmrożenie nosa, tudzież innych części ciała, skrajne wycieńczenie, śmierć głodowa, zabójcza nuda. Perspektywa, że ho ho i jeszcze raz po trzykroć ho ho. Dziękuję bardzo nie skorzystam. Miast z nosem przy ziemi wolę przechadzać się z nosem wysoko zadartym do góry. I niech tam o mnie ktokol-

wiek i cokolwiek mówi i myśli. Nie dbam o to. Dbam o życie. A poza tym, dlaczego to ja mam kimkolwiek i czymkolwiek się przejmować? Tak czy inaczej świata nie zbawię i nie zmienię. Szkoda złudzeń. Przestałem w to wierzyć. O wiele bardziej moją uwagę zajmuje to, by świat zbyt bardzo nie zmienił mnie. Proste to może nie jest, ale bardzo się staram. Z lepszym lub z gorszym skutkiem z grubsza na razie się udaje. Przynajmniej takie odnośzę wrażenie. Na pewno nie zmieniła mnie uliczno-chodnikowa pasja. Muszę się jednak przyznać do pewnej słabości. Otóż, gdy już bardzo długo nie udaje mi się niczego znaleźć zaczynam tęsknić nawet za najdrobniejszym grosikiem. Tęsknota dopadła mnie również i dzisiaj. Tym bardziej, iż zdałem sobie sprawę, że odkąd zabrałem się za spisywanie powyższej historii nie znalazłem nic. Mam wrażenie, że pisząc o arkanach kolekcjonamentozbieractwa przestałem baczyć na to, co dzieje się pod moimi nogami. I właśnie dzisiaj uświadomiłem sobie fakt, że w końcu wypadałoby się schylić ten jubileuszowy, 50 raz w wiadomym celu. Zaledwie zdążyłem o tym pomyśleć i co widzę? Tak, tak właśnie to. Tuz przed bankomatem leży piękny, malutki, lśniący grosik i tylko czeka na to bym go podniósł! Dar losu, który uszczęśliwił mnie o wiele bardziej, niżli te 2 000 groszy polskich, które wypuł przede mną automat-bankomat. Naprawdę niewiele brakowało, bym w ogromnej ekstazie, w euforii nieopisanej ucałował lśniący grosz czule, z namaszczeniem godnym najwspanialszej kochanki. Z namaszczeniem należnym kobiecie z gatunku tych jedynych, tych niepowtarzalnych, tych na całe życie. W porę się jednak zreflektowałem. Całować pieniądze? Toż to nienormalne, nieetyczne, niehigieniczne. Toż to nie fair w stosunku do tych wszystkich nieszczęśników, którzy go nie zauważyli i którzy nie będą mieli okazji już go zauważyć. A jednak czasami kimś i czymś się przejmuję. Znaczy się nie jest ze mną jeszcze tak tragicznie i źle. Wcale nie uważam, że współczucie to oznaka słabości. Co to, to nie. Nigdy tak nie uważałem i raczej nigdy tak uważał nie będę. W tej kwestii charakteryzuje mnie głęboki konserwatyzm światopoglądowy. Zagalopowałem się nieco stawiając pytanie: dlaczego to ja mam kimkolwiek i czymkolwiek

się przejmować? Przecież to, że nie zbawię i nie zmienię świata, nie może być argumentem przemawiającym za tym, bym miał myśleć tylko i wyłącznie o sobie. Na pewno nie. Przyznaję się bez bicia: mam w sobie coś z altruisty. Bracia i siostry, kolekcjonomonetozbieracze i kolekcjonomonetozbieraczki, przykuci mrozem i katarem do chodników i ulic, czekajcie na mnie już śpieszę Wam z odsieczą. Nie chcę w zamian nic, ale musicie mi obiecać, że w przyszłości będziecie na siebie i na siebie nawzajem o wiele bardziej uważać.

Tak, tak pomimo moich, własnych, osobistych i rozlicznych wzlotów i upadków, wciąż jestem altruistą. Zawsze nim byłem. Niekiedy tylko starałem się bardziej skutecznie lub skutecznie mniej to ukrywać. Czasami w ten sposób udawało mi się wyprowadzić w pole nawet siebie. w moim przypadku proporcje cierpienia rozkładają się następująco: 40 gramów to troski innych, pozostałe 4 gramy to moje utrapienia. Wiem, powinienem to zmienić. Próbuję nad tym pracować, ale póki, co nic mi z tego nie wychodzi prócz włosów. Życie powinno nade mną ostro popracować. Niniejszym obwieszczam: oddaję się w twoje władanie! Życie czyni swoją powinność! Zmieszaj mnie z błotem, przemieszaj proporcje wzruszeń, uczyni egoistą! Oczywiście w granicach normy. W granicach nieprzekraczających zasad moralnego postępowania. Kilka dodatkowych kropel egoizmu w oceanie altruizmu na pewno by mi nie zaszkodziło, a mogłoby mi nawet pomóc. Co to, to tak! Jak najbardziej. Bardzo proszę. Very very please!

No, cóż jeszcze póki, co nadal ze sobą wytrzymuję. Ze sobą i ze swoim altruizmem. Jeszcze póki, co nadal daję radę. Obawiam się jednak tego, że tabuny ludzi oczekujących mojej pomocy, któregoś, pięknego dnia, stratuja mnie zupełnie. Zrównają mnie z Matką Ziemią i nie zauważa tego, aż do momentu, w którym z moich ust nie popłynie przejmująca i rzewna melodia ostatnich tchnień. Cóż tłum nie myśli, tłum działa. Myślenie nie jest najmocniejszą stroną zdecydowanej części populacji ludzkiej. Tak to właśnie jest. „Ludzi coraz więcej o człowieka coraz trudniej”. Święta racja. Święta banalna racja. Święta banalna racja nad ra-

cjami. Tylko, czemu to ja mam w większym niż inni stopniu dźwigać jarzmo myślenia. Tak, wiem Homo Sapiens to brzmi dumnie. To zobowiązuje. To nobilituje. Dlaczego jednak większość, a nie mniejszość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy? O tak! Przecież o wiele wygodniej jest, jeśli inni pomyślą. W tym czasie można wszak oglądać kolejny głupi serial, kolejny bzdetny reality show, kolejny debilny sitcom. Zaiste to bardzo, ale to bardzo pouczające. Czuję, że za chwilę mnie trafi! Zawsze, gdy zaczynam o tym myśleć to czuję, że za chwilę może mnie trafić. I gdyby nie myśl, że nie powinienem o tym myśleć pewnie dawno padłbym trupem. Staram się, zatem o tym nie myśleć. Staram się zapamiętać, że mam o tym zapomnieć. Tylko jak tutaj zupełnie zapomnieć o tym, że w czasie, gdy ja oddaję się zadumie, zdecydowana większość People siedzi wygodnie i pierdzi w podłogi, kanapy, wersalki, fotele, krzesła czy inne taborety. Tak zdecydowana większość People w tym czasie oddaje się tym czynnościom, wpatrując się przy tym, tymi swoimi bezmyślnymi ślepkami, tym swoim zidiociałym spojrzeniem, w te swoje debilne okna na świat. No cóż mnie też się to zdarza, nie przeczę. Z tą jednak drobną różnicą, że zdarza mi się to nie na co dzień, lecz od święta. Każdy z nas, wykluczając zwierzęta i rośliny, w mniejszym lub w większym stopniu jest człowiekiem. Każdy nim jest czy tego chce, czy nie. Każdy od czasu do czasu lubi bezmyślnie pasmatriet w telewizję. Dlaczego zatem ja miałbym odmawiać sobie tej przyjemności? Czy ja nie zasługuję na to, by raz na jakiś czas, poczuć się jak jakiś prawdziwy półgłówek lub jak jakiś inny mądry ćwierćmózg? Czy ja na to nie zasługuję? Mnie też się to należy! Ja też czasami pragnę odurzyć się głupotą. Skretynieć, zdurnieć, zidiocieć tymczasowo. Ja też chcę! Też chcę! Też chcę! Powtarzam: teeeż chceem!!! Chceem i muszeem!!! Jestem tego wart! Dajcie mi wszyscy taką szansę! Dajcie, choć trochę spróbować! Chociaż troszeczkę, chociażby odrobinę, choćby ociupinkę. Tyci tyci, bo co za dużo to niezdrowo, bo mnie nie w smak absolutne, bezgraniczne, całkowite, długoterminowe...zabójcze ośpienie. Co to, to nie! Toż to byłaby lekka przesada. Nie lubię głupoty samej w sobie, głupoty

dla głupoty. Lubię za to mądrość z lekką nutką głupoty. To mi odpowiada. To mi imponuje. To mnie zachwyca. Kontrolowane szaleństwo na usługach człowieka. Szaleństwo z ogromną dozą mądrości. To lubię. To uwielbiam. To kocham. Tak chcę! Tak chceem! Taaak chceem i muszeeem!!! W szaleństwie zachować mądrość. W szaleństwie pozbyć się głupoty. W szaleństwie brodzić, lecz nie pływać.

Pływakiem to ja jestem żadnym i pewnie do dna miałbym bliżej i szybciej niż Titanic. Batyskafem to ja też raczej nie jestem. Wynurzyć to bym się sam zapewne nie wynurzył. Dziękuję bardzo z tej przyjemności nie skorzystam. Wariat to ja już może jestem, ale idiota to jeszcze nie jestem. Jeszcze nie, to pewne. Przynajmniej podług mnie. W tej kwestii raczej nie powinienem się mylić. Mam taką nadzieję. Mam taką głośną nadzieję. Bardzo głośną nadzieję, choć sam z reguły jestem cichy. Sam rzadko podnoszę głos. Ale wiem, że kopare to ja otworzyć potrafię. Oj to, to potrafię, potrafię. Mogę wrzasnąć tak, że sam mogę siebie nieźle nastraszyć. Dlatego często i gęsto unikam wrzasku. Dlatego, ale nie jedynie, dlatego. Po prostu często i gęsto nie mam ochoty dzierać mordy w niebogłosy i po próżnicy. Tak zupełnie po człowieczemu nie mam na to ochoty. Ot i cała tajemnica. Często i gęsto miast wydrzeć się na kogoś wolę go zignorować. W tym to naprawdę niekiedy bywam dobry. Aż za dobry. Aż strach się bać i aż strach w to uwierzyć, bo ja z reguły jestem dobry tyle, że w innym tego słowa znaczeniu.

Tak naprawdę rzadko zdarza mi się z ignorancją odnosić do ludzi. Nie potrafię raczej obojętnie przejść obok człowieka potrzebującego pomocy. Taki już ze mnie mały, drobny, niepozorny zignorant. Boję się jednak swoich reakcji. Boję się tych niczym nieuzasadnionych wybuchów złości, tej niczym nieuzasadnionej amplitudy nastrojów, tego niczym nieuzasadnionego tumiwisizmu. Szczęście w nieszczęściu wszystko mi szybko mija. Śmiem twierdzić, iż niekiedy nawet o wiele za szybko. Pstryk i po wszystkim. Pstryk i przed wszystkim. Pstryk, pstryk, pstryk. Szybko to ja się chyba jednak nie wypstrykam. Nie ma raczej takiej możliwości. Chyba raczej nie. Nigdy nie mów nigdy. Toteż nie nie, ale raczej nie.

Pewne zasady trzeba mieć jednak zawsze. Niezależnie od wszystkich, niezależnie od wszystkiego, wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu. A jeśli już się zniechęcać to nigdy na gorsze, a zawsze na lepsze. Tak, tak wiem to żmudna i ciężka praca. Nie zawsze przynosząca zamierzone efekty finalne, ale próbować warto. Próbować warto zawsze. Z dziecinną naiwnością w sercu i z bagażem mądrości w głowie. Uważam, że tak naprawdę coś z dziecka należy mieć w sobie do końca. Do samiotkiego tragicznego, bądź nagłego końca. Tak myślę i tak mam. A jeśli innych drażni to we mnie, to niech inni się ode mnie odczepią. Ode mnie wara, ode mnie wynocha, ode mnie won!!! Raz na zawsze won! Nie lubię nadmiernej powagi. Chcę być dzieckiem. Nie chcę być przesadnie poważny. Chcę dziwić się światem, a nie roztrząsać jego globalne i prowincjonalne problemy. Przecież ja widzę, co się dzieje i wolę działać, niżli o tym mówić. Nie mam zamiaru toczyć żadnych mądrych dysput o wszystkich i o wszystkim. Pewni ludzie i pewne sprawy raczej nie znajdą się nigdy w kręgu moich zainteresowań. O nie, nie! o pewnych sprawach i o pewnych ludziach lepiej w mojej obecności nie wspominać. Proszę, więc nie prowokować u mnie ataków furii oraz odruchów wymiotnych. Bardzo proszę! Zapewniam, że w moim wydaniu, ani jedno, ani drugie nie jest niczym przyjemnym. Obrzydliwy to ja nie jestem. Wymioty i wymiociny innych nie robią na mnie prawie nigdy większego wrażenia. Większe wrażenie robią na mnie za to moje, własne i osobiste wymioty i wymiociny. Proszę, zatem mnie nie prowokować. Na temat pewnych ludzi i pewnych spraw nie będę rozmawiał. Powtarzam: pewne sprawy i pewni ludzie czynią ze mnie furiata i wymiotnika. A ja nie chcę być postrzegany w ten sposób. Nie chcę, żeby omijano mnie szerokim łukiem. Nie, nie, nie. Nie i już. Tak, więc zero prowokacji proszę. Takich prowokacji już wystarczy! Już lepiej prowokujcie mnie do zgięcia karku w inny sposób. Na przykład... gubcie częściej pieniądze! Dajcie mi szansę je zbierać! Pozwólcie chylić czoła jak najczęściej! Nawet najmniejszy grosik – także i ten dzisiejszy – cieszy mnie niezmiernie. Kręgosłup mi nie strzeli. Bez obaw. Nie strzelił mi dzisiaj, kiedy chyła-

łem się ten 51 raz, to i nie strzeli mi tak szybko, jak mogłoby się, co niektórym dyletantom wydawać. Tylko, co oni mogą wiedzieć o poławianiu monet z ulic i chodników? Chyba tylko tyle, że od czasu do czasu można takowe tam dostrzec. Nic poza tym. Nie wiedzą tego ile kolekcjonomonetozbieracz musi się nachodzić, napatrzyć, naoddychać, nim zegnije się wpół, by podnieść to, czego z takim trudem i z móżdżem wypatruje. Kondycja, zatem w tym fachu to rzecz niezbędna. Częstotliwość zginania karku jest niewielka tak, że zbytniego przeciążenia kręgosłupa nie należy się obawiać. Oczywiście o ile nie jest się maniakałnym świrem, takim, co to z uwagą, z nosem przy ziemi, z krótkowzrocznym zainteresowaniem przygląda się każdemu metrowi kwadratowemu, uciekającemu z pod własnych i cudzych nóg. W tej kwestii to na razie jednak tyle. Do tematu kolekcjonomonetozbieractwa wróć zapewne jeszcze przy pierwszej, najbliższej, nadarzającej się okazji.

I otóż wracam. Szybciej niżli się tego spodziewałem. I otóż to! I o to w tym wszystkim chodzi i o to w tym wszystkim biega. Nie mogę przecież pominąć faktu, iż dzisiaj po około 4 500 sekund spozierania na świat stałem się szczęśliwym posiadaczem dwóch nowych eksponatów. Jednego o nominale 1-groszowym, a drugiego o nominale 2-groszowym. To bardzo fartowny dzień. Dzień, jaki zdarza się niezwykle rzadko. Dzień, jaki zdarza się raz na jakiś czas. Dzień, do którego tęskni się długimi dniami i nocami. No, to teraz już cicho sza. Cicho sza na ten temat. No chyba, że... To jednak byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. No, więc cicho. Nie można zapeszać. Kolejny dzień dopiero się rozkręca zapeszać, więc nie wolno. Zapeszać nie należy, więc ani mru mru. Koniec i kropka! Amen w pacierzu! Stop!

Dni budzą się i zasypiają i póki, co mało, co wskazuje na to, by miało być inaczej. Choć trzeba przyznać, iż są tacy, którzy dostrzegli już i dostrzegają wciąż, co rusz to nowe znaki na ziemi i na niebie, które rzekomo wróżą rychły kres wszystkim i wszystkiemu. Szczęściarze! Chciałbym mieć tak dalekosiężny wzrok, ponieważ mam wrażenie, że moje spojrzenie robi się coraz bardziej bliskosiężne. Coraz bardziej mętne i coraz mniej wyraźne.

po prostu czuję, że najzwyczajniej w świecie siada mi wzrok. Nic nie poradzę na to, że całe życie dużo czytam, dużo piszę, dużo oglądam, obserwuję, przyglądam się. Nic na to nie poradzę. Nie potrafię zachować beczynnej obojętności i miast w literki i w to, co mnie otacza, wpatrywać się w sufit lub śledzić z wypiekami na twarzy losy kolejnych telenowelowych bohaterów, o swojsko lub dla odmiany mniej swojsko brzmiących danych personalnych. Nie bardzo interesują mnie ich wydumane problemy. Nie bardzo interesują mnie ich sukcesy czy też porażki. Wreszcie nie bardzo interesują mnie oni sami. Nie dotyka mnie, zatem to, że te Hero tracą bardzo z nagłą pamięć, a później bardzo z wolna ją odzyskują. Nie dotyka mnie to, ale za to wzrusza do łez. Dławię się nimi wręcz do rozpuku. Unikam, więc takich wzruszeń w obawie, że któregoś bliżej nieokreślonego, bardziej lub mniej pięknego popołudnia udławię się na dobre i na złe, bądź też pęknię ze śmiechu. Nie chce skończyć tak banalnie! Bo i cóż skrobną mi w epitafium? Żył tragicznie, zmarł komicznie? Rozbrajająca szczerość, nieprawdaż? Totalny ekshibicjonizm w ekstremalnie najczystszej postaci! Dziękuję, zatem bardzo, poczekam na bardziej zmyślne zakończenie. Odańczę Dance Macabre w innych okolicznościach przyrody. Wyciągnę kopyta w inny sposób. Kiedyś na pewno to nastąpi. Póki, co jeszcze nie chcę. Póki, co jeszcze chcę sobie pożyć. Póki, co jeszcze chcę się pomęczyć. I niech już tak będzie i niech już tak zostanie. Nie będę specjalnie narzekał. Chcę się jeszcze pośmiać i popłakać do bólu. Chcę się jeszcze zachwycać i rozczarowywać światem. Chcę się jeszcze zмагаć z wszystkim i z wszystkimi. Jeszcze chcę! Jeszcze mogę! Jeszcze pragnę! Nikt i nic nie może pozbawić mnie tej możliwości. Wykluczam oczywiście zdarzenia losowe, takie jak chociażby nieszczęśliwe wypadki czy też bliżej nieokreślone, nieprzewidywalne, niespodziewane zbiegi okoliczności. Grunt to nie pojawiać się w nieodpowiednich miejscach, z nieodpowiednim towarzystwem, o nieodpowiedniej porze. To w zasadzie powinno wystarczyć. To ma wystarczyć. To musi wystarczyć. Powinno, ma i musi wystarczyć, bo ja tak chcę, mogę i pragnę. Mówilem już wcześniej, że mam kaprysy, a to jest kolejny z nich.

I nie ma zmiłuj się. I nie ma uprosć. I nie ma i koniec. Chcę próbożyć!!! Ja to kocham i nieważne, że czasem myślę i mówię inaczej! To nieważne. To tylko i wyłącznie małe kapryski, z którymi w większym lub w mniejszym stopniu jeszcze i wciąż sobie radzę. Małutkie kaprysiątka, z którymi chcę, mogę i pragnę jeszcze i wciąż się zmagać. Bo i cóż warta byłaby nasza egzystencja bez ciągłych zmagañ.

Z reguły nie cierpię się kłócić, więc staram się kłótni unikać. Ale dlaczego od czasu do czasu mam się nie pokłócić? Do tego, jak i do wielu innych rzeczy też mam prawo. A, że wolę się kłócić sam ze sobą, a niżeli z innymi, to chyba dobrze o mnie świadczy. Może to będzie moja karta przetargowa, gdy stanę kiedyś u wrót niebios i nieśmiało zapukam, dzierając się przy tym w niebogłosy, że jeszcze ja zostałem, że jeszcze o mnie zapomniano, że jeszcze mnie powinno się wpuścić. Żadnej ewentualności wykluczyć nie można. Każdy scenariusz jest możliwy. Nie można wykluczyć niczego, bo wszystko jest możliwe. Wykluczenie jakiegokolwiek ewentualności i jakiegokolwiek scenariusza nie jest możliwe i jest wykluczone. A nuż nadejdzie taki dzień, że stanę oko w oko z Bogiem, pomimo tego, iż rzadko goszczę w progach Jego domu. Nigdy nic nie wiadomo, a przynajmniej nigdy nic nie wiadomo do końca. A ja zawczasu chcę się na to przygotować, chociaż pewności nie mam, czy tak będzie azaliż. Nie mam pewności, ale w razie w, muszę mieć na tę okoliczność jakiegoś asa w rękawie. Bo i cóż się ze mną stanie, gdy takowego zabraknie? Cóż się stanie??? Pozostanie tylko płacz i zgrzytanie zębów?! No, nie za to, to ja dziękuję! Po trzykroć bardzo, bardzo, bardzo dziękuję! Nie mam zamiaru przechodzić próby ognia. Nie widzę w tym niczego zabawnego. Niczego a niczego, wcale a wcale. Nie śmieszy mnie to zupełnie. Może, więc lepiej zebrać od razu talię asów, niżli bronić się i atakować wciąż i od nowa jednym i tym samym. Muszę się nad tym zastanowić. A może już nie czas na myślenie, a czas już na działanie? Przecież, jak już wcześniej nadmienilem wolę działać niż myśleć. Hmmm... Z drugiej jednak strony, działać zbyt pochopnie, bez uprzedniego rozpatrzenia wszystkich za i wszystkich przeciw, to

chyba też raczej nie w moim stylu. Fakt jestem impulsywny, ale zazwyczaj więcej mam z tego powodu kłopotów, aniżeli niekłopotów. Muszę nauczyć się nad tym panować. Muszę nauczyć się kontrolować swoje, własne i osobiste popędy-zapędy i znacznie mniej mieć ozorem. Muszę nauczyć się kontroli i panowania nad swoją, własną i osobistą impulsywnością. Mam nadzieję, że wystarczy mi jeszcze na to czasu! Czasu i odrobiny chęci i krzty cierpliwości. Szkoda, zatem czasu i chęci i cierpliwości na czczą gadaninę. Zaczynam zbierać talię pełną samych asów. Męczy mnie jednak jedna wątpliwość. Mianowicie, w jaki sposób zareaguje na taką rozgrywkę Wszechmogący Stworzyciel Nieba i Ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych? Może będzie chciał grać przeciwko mnie i moim asom talią pełną samych jokerów. A joker, no cóż... Joker bierze wszystko! Toż, to byłby dopiero joke. Chyba, zatem będzie lepiej rozegrać tę partię uczciwie. Być może szczęście uśmiechnie się do mnie.

Zazwyczaj szczęście w kartach mi dopisuje. Hmmm... Wątpliwa satysfakcja. Bardzo wątpliwa satysfakcja i przyjemność bardzo wątpliwa. Przyjemność to wręcz nawet żadna! Big zero przyjemności. Cóż to, bowiem za przyjemność mieć szczęście w kartach, a nie mieć go w miłości. A jak to mawiają: kto ma szczęście w kartach, ten nie ma w miłości. Stare, znane i mądre porzekadło. A kto nie ma szczęścia w kartach, ten nie ma pieniędzy na miłość. W tym drugim stwierdzeniu też ukryta jest jakaś tam prawda i jakaś tam mądrość. A skoro zacząłem już o pieniądzach, to muszę coś wyznać. Nie ma rady. Otóż... dzisiaj znalazłem i podniosłem kolejnego, samotnego i zagubionego grosika. Coś tutaj chyba jest nie tak! Coś ze mną tutaj jest nie tak? Coś ze mną nie gra? Coś chyba nie gra! Szczęście znajduję bądź to pod butami, bądź to na karcianym stoliku, a nie próbuję znaleźć go w sobie? Nie próbuję, czy nie chcę? Hmmm... chyba jednak próbuję... chyba jednak chcę... no ale... Zawsze jest jakieś ale. Zawsze było, jest i będzie jakieś ale. Ale ja już nie chcę ale! Nie chcę ale ja, nie chcę ale ty, nie chcę ale on, nie chcę ale ona, nie chcę ale ono, nie chcę ale my, nie chcę ale wy, nie chcę ale oni, nie chcę ale one! Nie chcę żadnych ale! Nie chcę, ale mam. Taka

wrażliwość i jak na razie nic na to nie mogę poradzić, Czyżby kolejna karta przetargowa w ostatecznej konfrontacji ze Stwórcą? Czyżby kolejny as w rękawie? Mam nadzieję, że tak! Mam nadzieję, że moje wewnętrzne rozterki i zgryzoty nie okażą się jednak nadaremne. Mam nadzieję, że moje poświęcenie i mój altruizm w ostatecznym rozrachunku będą docenione i uratują mi choćby i duszę, skoro i tak nikomu nie ma być dane uratowanie ciała. W przeciwnym wypadku na cóż się męczyć?! To nie jest żadna kalkulacja, ani żadne wyrachowanie. To jedynie pytanie bez jednoznacznej odpowiedzi. Pytanie, na które nikt z żyjących nie zna odpowiedzi. Pytanie, na które odpowiedzi udzieli jedynie czas i Stwórca wszech rzeczy. Póki, co trzeba próbożyć, jak się tylko potrafi i umie. Bez jakichkolwiek chłodnych kalkulacji. Bez jakiegokolwiek zimnego wyrachowania. próbożyć, ot po prostu i nic więcej. A że wrażliwość czasem zbyt duża, a że drażliwość czasem zbyt wielka, trudno widocznie tak ma być. Klamka zapadła. Niezbadane są wyroki Niebios. Padło na mnie i fin-to. Trzeba z tym próbożyć! Trzeba i już! Trzeba i amen. „Niech się dzieje wola nieba z nią się zawsze zgadzać trzeba”.

Fakt jest faktem, iż czasami dopada mnie wściek niesamowity. Potrafię wtedy bez umiaru bluźnić i złorzeczyć nie tylko Bogu, ale i Jego poplecznikom. To takie moje, własne, osobiste i na szczęście krótkotrwałe ataki. To takie moje, własne, osobiste i na szczęście nie nazbyt częste wybuchy. Wolę niekiedy nie tłumić ich jednak w sobie, bo czuję, że mógłbym zalać się żółcią. A wtedy to, jak to się mówi: już po ptokach. Już mnie nie będzie. Nie ma i nie będzie Romana Dareckiego. A tego to chyba ani ja nie chcę, ani zapewne wy nie chcecie? Bo i któż tak skutecznie będzie nudził i siebie i was?! Bo i kogóż będzie można tak bez przeszkód gnębić?! Kogóż będzie można tak bezkarnie zasypywać bagażami własnych problemów?! No? Domyślmy się wszyscy! Ja w każdym bądź razie znam już odpowiedzi na powyższe pytania. Znam je od dawna. Znam je odkąd tylko zacząłem kontrolować swoją, własną i osobistą świadomość. Znam je z dawien dawna, dokąd tylko nie sięgnę pamięcią. Można by, zatem rzec, iż znam odpowiedzi od zawsze. Od zawsze odkąd i dokąd się-

gam pamięcią i świadomością. I póki, co to mi wystarcza. I póki, co wiem, że nic się nie zmieni. I póki, co wiem, że ciężko będzie to zmienić. Taki czas, takie miejsce i tacy ludzie. Ciężko zmienić cokolwiek. Można i trzeba się przyzwyczaić. Dlatego wciąż, nadal i ciągle się przyzwyczajam. Bywa z tym różnie. Raz lepiej, raz gorzej, to znów zupełnie dobrze, to znów zupełnie źle. Jak to w życiu. Kroczek do przodu, kroczek do tyłu, w przód, w tył i czasami w bok. Wszystko przed, wszystko za, wszystko obok. Wyżej – niżej, dalej – bliżej, szybciej – wolniej. A tymczasem... więcej! Więcej o kolejne dwie 1-groszówki! A więc więcej! Znowu więcej! Wciąż więcej i więcej! Wciąż bogacę się o te okruszynki szczęścia, o które ubożają inni. I jeśli dobrze się nad tym zastanowić, jestem szczęściarzem. Znajduję i dostrzegam to, co gubią i nie dostrzegają inni. Nie sędzę, bowiem by ktoś z owych gubigroszy zauważył fakt, iż zbiedniał o tego jednego lub tych kilka grosików. Rzecz zapewne miałyby się inaczej w przypadku banknotów. Cóż póki, co to jednak nie moja działka. Tak, jak już wcześniej powiedziałem, banknoty nie darzą mnie specjalnym sentymentem. Nie lgną do mnie jak muchy do lepu.

Może to i dobrze, bo wtedy mógłbym być kimś zupełnie innym. Garnitur, wyprasowana oszula, krawat pod kolor, lśniące buty, teczuszka pod pachą i takie tam różne, inne dziwne dupe-rele. Wszystko zaplanowane, wyliczone, odmierzone itd. itp. Na samą myśl robi mi się dziwnie mdło. I choć w tej materii, tylko i wyłącznie teoretyzuję, to i tak czuję się jakoś tak trochę nie halo. Ale jak pomyślę o sobie wystrojonym dzień na dzień w galo-we fatalaszki i w dodatku z głęboko zakodowanym w podświadomości strategicznym planem działania, to jak się mam czuć? Jak mogę się czuć w obliczu perspektywy mnie w zasadzie ani ziębi, ani grzeje? Inna sprawa, że głowy do interesów, to ja nie mam żadnej. To absolutnie nie moja bajka. To na pewno nie mój świat. To zupełnie nie ja. Nie ten ja, nie ten świat i nie ta bajka. Nie mam zamiaru być kolejną marionetką w szponach bussines-su. Nie chcę i nie mogę nią być. Nie mam absolutnie, co do tego złudzeń. A już o jakichkolwiek ciągotach w tej materii zupełnie nie może być mowy. Moja, własna, osobista i biedna głowa nie

zniosłaby raczej takiego obciążenia. To byłoby zbyt wiele na jednego mnie, którym póki, co wciąż i nadal jestem. Fakt, zaobserwowałem u siebie, jakieś tam schizofreniczne skłonności, ale schizofrenikiem w zaawansowanym stadium choroby jeszcze nie jestem. Jeśli, zatem kiedykolwiek pójdę w jakieś tam biznesy, będzie to równoznaczne z kryzysem osobowości, postępującym w moim-nie moim umyśle i ciele. Jak już jednak wspomniałem, dostrzegam u siebie-nie siebie, jakieś tam drobne symptomy rozdwojenia jaźni. Zatem, toteż, tak że, więc, jednak, może... Któż to może wiedzieć? Gro ludzi już i tak widzi we mnie tylko i wyłącznie małego oszołoma. I żeby tylko. Śmiem twierdzić, iż część z nich patrzy na mnie, jak na potencjalnego pensjonariusza domu dla psychicznie i nerwowo chorych. Wiedzieć może to kto? Może, jednak, więc, tak że, toteż, zatem... Ale, cóż to za biznesmen byłby ze mnie. Biznesmen bez głowy. Z drugiej jednak strony, czyż postępująca choroba umysłowa nie powoduje pomieszania klepek?! A nuż okazałoby się, że to wcale nie pisanie, a biznesmanienie jest moim prawdziwym powołaniem. Już teraz często i gęsto zastanawiam się nad tym, czy to moje, własne i osobiste pisanie jest jakimkolwiek powołaniem? Może do tego też nie mam jednak głowy? Może mam głowę na karku tak do parady? Może trza jednak spróbować, czego innego? Pomyślę o tym pojutrze. W myśl powiedzenia: co masz zrobić dzisiaj, zrób pojutrze, będziesz miał 2 dni wolne.

SPIS TREŚCI:

POEZJA

Zbigniew Miroslawski s. 7-9

*** „Jestem opromieniony...”

„Bezczas”

*** „Harry Haller ma rozszczepioną duszę...”

Robert Stańczyk s. 10-12

„Poza granicami świata”

„Czekając na pociąg”

„Nic śmiesznego”

Monika Chytróś s. 12-14

„Pierwsi w mieście”

„Kałamarniczka”

„Początek”

Filip Pietrek s. 15-17

„Lange Jan musi uwierzyć w siebie”

„Rozsypująca się”

„Dał, zabrał”

„Kawa z cynamonem”

Marta Kostyk s. 18-20

*** „nie ma miejsc bardziej odległych...”

„Fontanna Czterech Rzek”

*** „to szaleństwo – czas przyszedł...”

„follow me car”

*** „niedźwiedzie budzą się...”

Zuzanna Abrysowska s. 20-23

„Eukaliptus”

„Forest Lawn Memorial Park”

„Yoshua Tree NP.”

„Crescent Meadow”

„Dead Horse”

„Las Vegas / miasto na opak”

Dariusz Romanowski s. 24

„A nawet jeśli coraz trudniej”

Urszula Banaś s. 24-27

*** „gdyby mój mur był z cegieł...”

*** „drzewo mojego życia...”

„Maksimum Leonidów”

„Apogeum szaleństwa – Blue Monday, pełnia księżyca
i wiatr halny, 21 stycznia 2008”

„Requiem dla Nieistniejących”

„Trzydzieści trzy i trzy”

„Równowaga”

*** „...przed świtem”

Adam Rajski s. 27-29

*** „Przychodzi jak Odys...”

*** „Cień dwóch lampek...”

Dominka Wianecka s. 30-31

„świtanie”

„w międzyczasie”

*** „szóste piętro kolejnego wieżowca...”

„wszystkie słowa są kobietą”

Olga Wałaszek s. 31-32

*** „ukryjmy się...”

„Niemy wieszcz”

Mariusz Mitera s. 32-33

„przemijanie”

„...Dusza tęsknym wzrokiem wypatruje...”

„Czyścić”

*** „zabawa w przeciąganie struny”

„Pożegnanie”

Agnieszka Szajer s. 34-36

„Chwila słabości”

„Podróż”

„dorosłość”

*** „krzyk...”

Grzegorz Szajer s. 36

„jestem”

Józef Komarewicz s. 37

*** „...ścielą się sny jak aksamit”

Monika Maśnik s. 37-41

„Takie proste szczęście”

„Jesienią”

„W malinach po szyję”

„Kwiecień”

„dzień matki”

„znów przedwiośnie”

Izabela Iwańczuk s. 41-42

„Grypa”

„Czuła stacja”

„Kawa włoska”

„Struna”

Marta Sowa s. 43-47

*** „- tobie...”

*** „zakochaj się we mnie...”

*** „zagnij czasoprzestrzeń...”

*** „zachłysnęłam się tobą...”

*** „od ostatniego dotyku...”

*** „zaczęło się od epizodu...”

*** „która godzina?...”

*** „wspólne życie bywało za ciasne...”

Krzysztof Maniak s. 47-52

„Litania do dobrej kreski”

„Leżące słowa”

„Empire of the sun – we are the people”

*** „czerwiec...”

*** „w monologu świateł...”

*** „Dwie minuty...”

Bartosz Baran s. 52-56

*** „Ciasno mi...”
„Rozsypane słowa...”
„Nie lubię samotnych nocy”
„Nie mów mi...”
„Dopóki trwam...”
„Nie ma...”

Natalia Tryba s. 56
„Niedocenieni”

Ewa Tomaszek s. 56
„Nadinterpretacja”

Krystian Janik s. 57-60
„INTRO”, ... „Kamień”
„Więzień miłości ciemnicy”
„Apostazja”
„Wróżbiarz”

Krzysztof Kunisz s. 61-63
„Apatia”

Delilah „Del” Panaglima s. 64
„Walczcie... Jeśli jesteście sobie przeznaczeni...”

P R O Z A

Zbigniew Leszczyc Mirosławski s. 67
„Dogonić samego siebie”

Mariusz Mitera s. 72
*** „Siedział między nimi...”

Roman Darecki s. 73-94
„Z...a”

